Piątek–Niedziela 3–5.07.2026 | Nr 53 (2564) | Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT) | **www.i.pl** | Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA



Nasz **Pociąg Marzeń** ruszył już w swą coroczną trasę, by spełniać dziecięce sny o pięknych wakacjach. Dołączysz? W zeszłym roku wspólnie podarowaliśmy dzieciom mnóstwo radości – sprawmy znów razem, aby nowa edycja okazała się sukcesem!

Twój mały gest ma wielką moc: wesprzesz nie tylko wakacje, ale też rehabilitację, zakup sprzętu medycznego i inne świadczenia.

Przystąp do naszej wyjątkowej akcji i dołącz swój wagonik dobra. **Szczegóły znajdziesz wewnątrz wydania, na stronie 10**

9 771898 308059 27

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

- Gwiazdy filmowe , które olśniły wszystkich, ale rozbłysły tylko raz
- Afryka. „Tam dzieci umierają z powodu zwykłej nitki”



Janusz Michalczyk
publicysta

UŚCISKI NA POKAZ NIEPOTRZEBNE

Kilka dni temu przechodziłem przez jezdnię w drodze na przystanek tramwajowy, tuż przede mną maszerował starszy mężczyzna, a kilka kroków przed nim dziewczyna. Zauważyłem, że facet kręci głową zerkając na nią, wykrzywia w złości twarz, z ust płyną ciche przekleństwa. Jego zachowanie było dla mnie zagadkowe, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że wyprzedzająca obu nas dziewczyna mówi głośno po ukraińsku, rozmawiając z kimś przez słuchawki smartfona. W sekundę mnie zmroziło.

Politycy lekceważą fatalne skutki, jakie mogą wywołać ich słowa i decyzje, najważniejsze są dla nich słupki poparcia w sondażach i walka o władzę. Można też przypuszczać, że raczej niewielu Polaków i Ukraińców weźmie sobie do serca apel o niepodgrzewanie nastrojów, który wystosowało wspólnie kilka dni temu trzech naszych kardynałów i dwóch duchownych zza naszej wschodniej granicy. Niechęć będzie narastać.

Niewykluczone, że Wołodymyr Zełenski skończy jak Winston Churchill, który poprowadził Brytyjczyków do zwycięstwa nad niemieckim faszyzmem, ale rodacy mieli go po dziurki w nosie i krótko po wojnie odesłali na emeryturę. Nie ma się jednak co łudzić, że wtedy w relacjach polsko-ukraińskich zapanuje sielanka. Wielu naszych analityków wskazuje, że - oprócz wspólnego wroga w postaci imperialnej Rosji - mamy wiele sprzecznych interesów ekonomicznych, zaś ocena tragicznych wydarzeń z przeszłości będzie nas długo dzielić.

Najwyraźniej ukraińskie elity nabrały przekonania, że mogą rozmawiać z Berlinem, Paryżem i Londynem bez oglądania się na polskie władze. Sytuacja zmieni się radykalnie, gdy na froncie zapanuje cisza. Zgadzam się z tymi komentatorami, którzy przekonują, że w czasach pokoju to my będziemy mieć mocniejsze karty i Kijów wcześniej czy później spuści z tonu. Ukraińcy potrafią się bić, jednak nie pokazali zdolności do zbudowania silnego, demokratycznego państwa.

Wcale nie będzie źle, jeśli na poziomie rządowym zapanuje chłodny rachunek korzyści i strat. Nikomu nie są już potrzebne uściski na pokaz i poklepywanie się po plecach z udawaną sympatią. Natomiast wyzwaniem dla każdego rozsądnego człowieka pozostaje, jak kontrolować się na tyle, by nie ulegać odruchom niechęci w codziennych, zwykłych kontaktach.

ZBYT MAŁO ZNANY ELEMENT NASZEJ HISTORII



Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Właśnie dzisiaj przypada rocznica pewnej bardzo ważnej bitwy, więc chcę o tym wspomnieć w moim felietonie. 4 lipca 1610 roku pod Kłuszynem wojsko polskie, dowodzone przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego, zaatakowało i pokonało armię cara Wasyla Szujskiego. Wojsko rosyjskie było czterokrotnie liczniejsze od Polaków i było wspomagane przez Szwedów, którymi dowodził Pontus De la Gardie. Źródła podają, że Rosjan było 20 tysięcy, a Szwedów 3300. Żółkiewski miał 5556 husarzy, 400 konnych Zaporożców, 200 piechoty i dwa lekkie działa, które zresztą ugrzęzły w błotach leśnej drogi wiodącej do Kłuszyna. Dysproporcja sił była więc ogromna.

Relacjonowanie całego prze-biegu bitwy jest w ramach tego felietonu niemożliwe, więc zainteresowanych odsyłam do licznych i łatwo dostępnych źródeł. Trwała ona pięć godzin i została przez Polaków bezapelacyjnie wygrana. Ogromnej przewadze liczebnej wojsk rosyjskich Żółkiewski przeciwstawił dyscyplinę i manewrowość swoich rycerzy, a zwłaszcza husarzy noszących na swoich zbrojach charakterystyczne, nigdzie indziej na świecie niespotykane skrzydła. Niezwykle waleczne i groźne oddziały tej naszej najcięższej pancernej jazdy uderzały na Rosjan wielokrotnie, niektóre chorągwie szarżowały nawet 8 do 10 razy, a ograniczenie użycia tej niezwykle skutecznej formacji w omawianej bitwie wynikło z trywialnego powodu: zabrakło kopii rycerskich, które się połamały (skruszyły) w ponawianych atakach. Zwycięstwo było całkowite.

Car Wasyl Szujski uciekł, uciekł także Pontus De la Gardie. Rosjan zginęło bardzo wielu - niektóre źródła mówią nawet o 17 tysiącach zabitych. Nikt ich nigdy nie policzył. Sam Żółkiewski w relacji z bitwy podawał, że zginęło 1200 Szwedów i wielokrotnie więcej Rosjan.

Szokująca jest natomiast wiadomość o stratach strony polskiej. Otóż dzięki dobrze przemyślanej strategii i sprawnemu dowodzeniu armią zginęło tylko 100 polskich husarzy. Dokładnie tylu. Oczywiście wielu było rannych, zginęło też wielu pachołków i pocztowych, ale polskich rycerzy padło pod Kłuszynem tylko 100!

W Polsce na ogół nikt nic nie wie o tej bitwie. A tymczasem powinniśmy pamiętać o tym bezprecedensowym sukcesie naszych przodków, o tym, że zwycięskich Polaków zaproszono do Moskwy, o polskiej załodze wojskowej stacjonującej na Kremlu i o wnioskowanym przez samych Rosjan panowaniu nad nimi polskiego króla. Dokonaliśmy wtedy czegoś, co się nikomu innemu nie udało. Jak wiadomo, Hitler do Moskwy nie dotarł. Napoleon wprawdzie wszedł do Moskwy (w czym mu zresztą wal-nie pomogli Polacy), ale nigdy nie został uznany przez Rosjan za władcę i po niespełna dwóch miesiącach (!) musiał opuścić płonącą stolicę Rosji. Tymczasem polska załoga stała na Kremlu blisko dwa lata, a Władysławowi IV ludność Rosji składała przysięgi wierności jako prawowitemu carowi.

Król Zygmunt III Waza zepsuł owoce tego zwycięstwa. Poszło o to, że Rosjanie wymagali od swojego cara przejścia na prawosławie, na co Zygmunt III nie wyrażał zgody.

Nasuwa się tu pewna analogia. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy pryncypialnie religijny Zygmunt III zmarnował możliwość polskiej dominacji nad Rosją, we Francji władał Henryk IV Burbon. Był on zwolennikiem hugenotów, ale po wstąpieniu na tron musiał przejść na katolicyzm. I zrobił to bez wahania w 1593 roku, wypowiadając podobno słynne zdanie: „Paryż wart jest mszy”.

Dla polskiego króla Moskwa nie była warta mszy! Być może dlatego Henryk IV został założycielem dynastii Burbonów, która władała Francją do 1830 roku, a Zygmunt III zapoczątkował upadek Polski, w wyniku którego w 1830 roku w Warszawie rządzili Rosjanie, a potomkowie husarzy spod Kłuszyna ginęli w powstaniu listopadowym...

TEMATY ZASTĘPCZE



Marek Mazurkiewicz
politolog

Temat zastępczy to narzędzie zajmowania uwagi opinii publicznej i mediów, stosowane przez polityków wszystkich opcji. W czasach „słusznie minionych” władze komunistyczne wkładały wiele energii w to, by tematy zastępcze przysłaniały problemy i niedomagania gospodarki centralnie sterowanej.

Po sprawdzone i skuteczne mechanizmy absorbowania uwagi społeczeństwa tematami zastępczymi od dziesięcioleci sięgają też politycy III RP. Niejednokrotnie udawało się za ich pomocą zdominować przestrzeń debaty publicznej, a nawet uczynić z nich główne problemy kampanii wyborczych.

W 2015 r., na fali europejskich lęków związanych z napływem uchodźców wojennych z krajów Bliskiego Wschodu, przekonywano Polaków, że największym problemem, z jakim kraj musi się zmierzyć, są migranci utożsamiani z islamistycznymi terrorystami. W kolejnych kampaniach wiodącymi tematami zastępczymi były problem równouprawnienia środowisk LGBT, który redukowano do ideologii zagrażającej dzieciom, rodzinom i polskości w ogóle, oraz aborcja, która daje gwarancję, że będzie budzić społeczne i polityczne emocje.

Wydaje się, że kolejnym tematem zastępczym staje się trudna polsko-ukraińska przeszłość. Na domiar złego politycy ukraińscy, na czele z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, walnie się przyczyniają do tego, by to właśnie przeszłość zdominowała polską politykę i media. Trudno oprzeć się wrażeniu, że politykom ukraińskim, którzy „rozgrzali” emocje w Polsce, mógł przyświecać podobny cel - skupić uwagę społeczeństwa na zastępczym problemie.

Rozbudzone przeszłością społeczne emocje mogą przysłonić teraźniejsze problemy, takie jak kondycja systemu ochrony zdrowia czy poziom wynagrodzeń w „budżetówce”. W katalogu prawdziwych problemów najważniejszym pozostaje niezmiennie demografia. Liczba urodzeń w Polsce spada dramatycznie, widać to w liczbie odebranych porodów w szpitalach powiatowych. W Brzegu i Nysie w 2025 r. urodziło się ponad 25 proc. mniej dzieci niż w 2023 r., w całym województwie - o prawie 15 proc.

Tymczasem politycy wolą zajmować naszą uwagę przeszłością, by przysłonić własną bezradność wobec problemu, który rzeczywiście ukształtuje naszą przyszłość.

eprasa.pl d81d53de47

Z czego jutro...? PLASTER AI, CZYLI JAK OBYWATELE MOGĄ POKONAĆ SYSTEM ANALOGOWEJ TYRANII STATUS QUO?

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



Naukowcy opracowali elastyczny plaster wyposażony w sztuczną inteligencję, który monitoruje pracę serca i niemal natychmiast analizuje oraz interpretuje dane zdrowotne. W tym samym czasie, gdy przyklejona do skóry obywatela AI w sekundę robi to, na co w rządowej służbie zdrowia musiałby czekać miesiącami, biurokracja próbuje stawić opór sztucznej inteligencji, faworyzując system analogowy obudowany fasadą komputerów i programów, które jak dotąd nie doprowadziły do radykalnego skrócenia czasu spędzanego w urzędach na mnożących się formalnościach. Z każdą kolejną generacją smartfonów rośnie przepaść między obywatelem dysponującym mocą obliczeniową umożliwiającą zastąpienie pracy całych ministerstw, a rządzącymi i urzędnikami utrzymującymi władzę nad tymże obywatelem dzięki pieczątce, która jest dyskrecjonalnym narzędziem utrzymywania go w stanie biurokratycznego poddaństwa.

Po jednej stronie świata przy wsparciu AI stworzono m.in. lek odwracający procesy starzenia czy podniesiono produktywność norweskiego funduszu majątkowego o 20 procent w ciągu jednego roku, a po drugiej stronie lodowata uprzejmość urzędów zastępuje klimatyzację, gdzie obywatel nadal mitręży czas w kolejce, doświadczając „Dnia świstaka". Nieodnawialnym ciągle zasobem jest czas, a sposób, jak jest traktowany przez rządzących, lepiej definiuje system władzy niż sam artykuł o ustroju w konstytucji państwa. Można zmienić jego nazwę i przywrócić koronę w godle, nie zmieniając paradygmatu działania aparatu władzy oraz nie zmniejszając zakresu jego ingerencji w życie obywateli, nadal traktując ich z biurokratycznym paternalizmem. Urzędnicy, jak w PRL, ciągle decydują o tym, co jest „najlepsze" dla obywateli, rozbudowując biurokrację, gdzie się tylko da, jak w służbie zdrowia i spychając ludzi do roli biernych petentów coraz bardziej nieefektywnego i marnotrawnego systemu. Z tego powodu, czytając opis działania służby zdrowia Leopolda Tyrmanda w „Dzienniku 1954" sprzed ponad siedmiu dekad, można odnieść wrażenie, że powstał on pod wpływem doniesień o funkcjonowaniu Szpitala Południowego czy innych tzw. placówek uspołecznionej służby zdrowia. W Polsce od czasu obserwacji L. Tyrmanda do tej pory mamy służbę zdrowia dwóch prędkości, gdzie „upaństwowiona medycyna, jakoby nasza największa zdobycz w socjalizmie, wydaje się organizmem w stanie dysfunkcji, jeśli nie rozkładu. Tłumy ludzi oklejające bezradnie przychodnie, kilometrowe kolejki do każdego okienka, konsultacji, aparatu; wielodniowe wyczekiwanie na najprostszy zabieg diagnostyczny i leczniczy; ankiety, kwestionariusze, skierowania, przekazy, których samo wypisywanie może złożyć niemocą człowieka zdrowego. Biurokracja dobija powalonego chorobą, lecznictwo, zwane bezczelnie uspołecznionym, szarpie na strzępy wolę ratowania się, resztki fizycznej odporności, wyczerpuje chęć życia wyczerpanego. Ale któż może sobie pozwolić na leczenie prywatne, prócz elit, partyjnych wielkorządców i ich intelektualnych lokai? A ci i tak mają wszystkie wejścia poza kolejką". Uporczywe nazywanie tego systemu „uspołecznionym" jest tak samo zasadne jak mianowanie czekisty Nikołaja Jeżowa przez propagandę sowiecką „strażnikiem dziecięcego snu".

Kiedy w Polsce powstanie podobny do Agent Hospital w Pekinie, który jest pierwszym na świecie szpitalem w pełni opartym na sztucznej inteligencji? Przy zawsze ograniczonych zasobach finansowych i ludzkich AI potrafi przeprowadzić tysiące symulacji kompleksowych ścieżek leczenia. System AI MedAgent-Zero samodzielnie diagnozuje choroby, zleca badania i ordynuje leki w bezpiecznym środowisku. Przełamanie i zmiana systemu w Polsce jest dziś możliwe nie tylko przez kolejny głęboki kryzys, którego doświadczamy równolegle w kilku naraz obszarach działalności państwa, ale po raz pierwszy również dzięki możliwości systemowego zastosowania AI dla poprawienia jakości życia obywatela i likwidacji urzędowego jego ciemiężenia.

Gdyby rządzący w Polsce korzystali nawet z prostych zestawień i porównań rozwiązań aplikowanych obywatelom z tymi funkcjonującymi w innych państwach Unii, to nie doświadczalibyśmy skutków najgorszych z możliwych, jak w przypadku podatkowych. Zamiast dążyć do stworzenia raju podatkowego dla własnych obywateli, urządzono jaczejkę podatkowego już nie czyśćca, tylko piekła. Działanie na rzecz utrzymania i „uszczelniania" systemu podatkowego przez jego dalszą komplikację potwierdza prawdziwość prawa Niesa, że „energia zużywana przez biurokracje na obronę błędu jest wprost proporcjonalna do jego wielkości". Nieefektywność i szkodliwość zarówno dla rządzących, a przede wszystkim dla obywateli systemu podatkowego, który doprowadza obie strony do gry o sumie ujemnej, podobnie jak pożerająca kolejne miliardy bez efektu dla obywatela służba zdrowia, potwierdzają mechanizmy psychologii organizacyjnej. Im większą i bardziej kosztowną pomyłkę popełnia instytucja lub korporacja, tym więcej czasu, wysiłku i środków jej aparat poświęca na jej tuszowanie, racjonalizację lub obronę, zamiast na jej zmianę.

W Polsce obrona błędu może mieć jeszcze głębsze źródło, którą jest autodestrukcyjna mania grup rządzących. Formacje władzy rządzące w Polsce nie są w stanie skutecznie obronić państwa nawet przed krajowymi grupami interesów, które zawłaszczają kolejne fragmenty prawa i budżetu, a cóż dopiero przed interesami obcych państw, sprawnie wykorzystujących systemowo utrzymywaną dysfunkcję stanowienia dobrego i stabilnego na pokolenia prawa. Państwo, które poddaje się intoksykacji wrogich mu interesów i nie potrafi ochronić własnego porządku prawnego oraz racji stanu przed grupami interesów od wewnątrz staje się również usłużne w realizacji celów innych rządów.

Do przełamania tego krytycznego dla dalszego suwerennego istnienia państwa polskiego jest dostępne narzędzie na wyciągnięcie ręki, które na masową skalę w roku 2026 wykorzystuje świat prawniczy. Niemal 70 procent prawników deklaruje, że korzysta z generatywnych narzędzi AI w pracy zawodowej. Prawdziwym przełomem staje się właśnie technologia generatywna, która wpływa na jakość świadczonych usług i na cały model biznesowy kancelarii, od przyspieszenia analizy dokumentów, przez badanie orzecznictwa, aż do przygotowania pism. Skoro rynek prawniczy zdołał tak szybko wchłonąć tę technologię, to dlaczego nie administracja publiczna?

Dlaczego nie analizuje się za pomocą AI zgodności projektów ustaw z Konstytucją RP, jeszcze zanim trafią one na ścieżkę legislacyjną? Dlaczego nie poddaje się systematycznej analizie wyroków zwłaszcza sądów administracyjnych, z których wiele zapada wprost przeciwko konstytucyjnym prawom obywateli? Sztuczna inteligencja w oparciu o Konstytucję państwa polskiego oraz Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych mogłaby stać się strażnikiem praw obywateli, wskazując na ich niedopuszczalne dziś naruszenia.

AI w rękach obywatela zaczyna destabilizować system analogowej tyranii status quo. Plaster, który diagnozuje serce, fundusz, który mnoży kapitał, algorytm, który w sekundy robi to, na co urząd potrzebuje kwartału, wszystko to odbiera „powagę kompetencyjną" z mocy sprawowanej władzy urzędniczemu gabinetowi na rzecz jednostki. Po raz pierwszy od czasów, gdy ustawa Wilczka zlikwidowała władzę biurokracji w gospodarce, pojawia się narzędzie zdolne ponownie uwolnić pracę i energię obywateli.

SZTUCZNA INTELIGENCJA W RĘKACH OBYWATELA ZACZYNA DESTABILIZOWAĆ SYSTEM ANALOGOWEJ TYRANII STATUS QUO

Andrzej Sadowski – założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku.

REKLAMA 0011530140



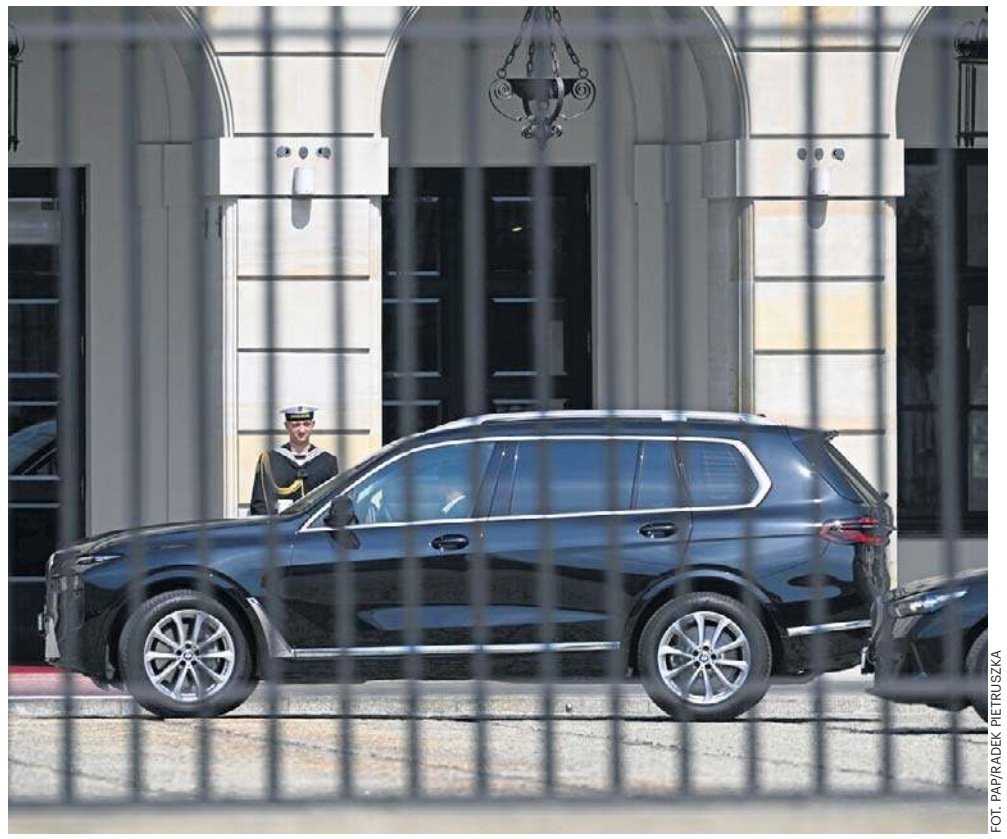
eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

WAŻĄ SIĘ LOSY STAŁEJ BAZY WOJSK USA W POLSCE

Politycy zapewniają, że „mamy zielone światło" od Amerykanów dla stałej obecności wojsk USA w Polsce. Starają się o nią i rząd, i Kancelaria Prezydenta. Ostateczne decyzje jednak nie zapadły. Być może po szczycie NATO w Ankarze usłyszymy o tej sprawie więcej

Dorota Kowalska



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

W Pałacu Prezydenckim doszło do spotkania Karola Nawrockiego z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Obaj bez kamer rozmawiali o zbliżającym się szczycie NATO

Wydaje się, że przynajmniej w tej sprawie rząd i prezydent mówią jednym głosem - chodzi o stałą bazę wojsk amerykańskich w Polsce.

- Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i prezydent Karol Nawrocki mają wspólne, spójne stanowisko, które zaprezentują na szczycie NATO w Ankarze - stwierdził wiceszef MON Paweł Zalewski po spotkaniu Władysława Kosiniaka-Kamysza z Karolem Nawrockim.

Spotkanie odbyło się w środę, panowie rozmawiali o kwestii stosunków polsko-amerykańskich i innych sprawach związanych z obronnością. - Poinformowaliśmy prezydenta o stanie prac nad bazami - mówił Zalewski, podkreślając kluczowe znaczenie tego projektu. - One są ważne także dla Amerykanów, bo Amerykanie mają interes tu być, m.in. ze względu na swoje poważne interesy w naszym kraju. Dla nas jest to ważne, bo to inwestycja w nasze bezpieczeństwo i odstraszenie wobec Rosji; trudno o czytelniejszy sygnał dla Rosji - ocenił wiceszef MON.

Władysław Kosiniak-Kamysz w połowie czerwca informował, że uzyskał od szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha pozytywną odpowiedź na list z 29 maja zgłaszający gotowość Polski do utworzenia stałej bazy wojsk amerykańskich.

„Po pozytywnej odpowiedzi sekretarza obrony USA na moją propozycję jesteśmy na kolejnym etapie rozmów. W Pentagonie trwa przegląd sił, który będzie podstawą dalszych decyzji. Departament Wojny jest otwarty na ofertę Polski w zakresie stałego stacjonowania sił amerykańskich na jej terytorium" - przekazał Władysław Kosiniak-Kamysz za pośrednictwem platformy X, dodając, że „blisko 60 proc. Polaków popiera utworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce".

„Zwiększone zaangażowanie wojsk USA to silniejsze odstraszanie i bezpieczna Polska" - zakończył swój wpis wicepremier i szef MON.

16 czerwca rząd przyjął uchwałę, która zainicjowała działania w sprawie utworzenia w Polsce stałej bazy amerykańskich żołnierzy. Potrzebne są konsultacje z Amerykanami, przygotowanie propozycji lokalizacji potencjalnej bazy oraz zestawienie dotyczące niezbędnej infrastruktury, kosztów projektu oraz źródeł finansowania przedsięwzięcia. Wiadomo, że wybudowanie takiej bazy może kosztować nawet kilkanaście miliardów złotych.

Co do lokalizacji, wiceminister resortu obrony Stanisław Wziątek w rozmowie z Polskim Radiem 24 stwierdził, że takich miejsc jest kilka.

- Na pewno możemy stwierdzić, że to będzie część zachodnia Polski - powiedział, dodając, że atrakcyjnym wyborem zdaje się być Szczecin. - Łatwość transportu ciężkiego sprzętu dodatkową drogą komunikacyjną ma tutaj ogromne znaczenie - tłumaczył.

Starania dotyczące powstania w Polsce stałych baz USA prowadzi także Kancelaria Prezydenta i BBN. Prezydent Nawrocki poruszał tę kwestię w rozmowie z prezydentem Donaldem Trumpem podczas swojej niedawnej wizyty w USA. Trump miał potwierdzić swoją wcześniejszą deklarację o wysłaniu do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy amerykańskich. Do Stanów Zjednoczonych poleciał także szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki. W czwartek spotkał się z podsekretarzem obrony USA ds. politycznych Elbridge'em Colbym, który odpowiada w Pentagonie za opracowywanie nowej formuły amerykańskiej obecności w Europie.

W środę szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP Marcin Przydacz po rozmowie z sekretarzem stanu USA Marco Rubio, stwierdził, że mamy „zielone światło" dla stałej obecności wojsk USA w Polsce, a Marco jest „absolutnie zwolennikiem" zmiany charakteru obecności amerykańskich sił zbrojnych na terytorium Polski z rotacyjnej na stałą.

- Jest absolutnie zielone światło z Białego Domu, także z ust Marco Rubio padła deklaracja - powiedział polski minister. Dodał, że ostateczny kształt tej obecności ma być wypadkową szerszej strategii, nad którą pracuje obecnie Pentagon.

Według Przydacza, który powoływał się na swojego rozmówcę, decyzja polityczna Białego Domu wynika z kilku czynników: poza samą amerykańską strategią obecności w Europie ma to być wynik dobrych relacji polsko-amerykańskich, „opartych w dużej mierze na bezpośrednich osobistych relacjach" prezydentów Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa.

Sekretarz stanu miał też podkreślić, że Polska jest „modelowym sojusznikiem", który przeznacza „odpowiednią część PKB" na zbrojenia i inwestuje w sprzęt oraz technologie obronne.

Przydacz zaznaczył też, że w rozmowie z Rubio podtrzymał deklarację prezydenta Trumpa o wysłaniu do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy, lecz zaznaczył, że chodzi prawdopodobnie o 5 tys. żołnierzy zamiast, a nie w dodatku do wstrzymanej rotacyjnej brygady pancernej liczącej 4 tys. żołnierzy.

- Wcale nie oznacza to, że ta wstrzymana brygada 4 tys. żołnierzy (...) nie przypłynie do Polski - powiedział. - Należy już raczej inaczej traktować tę obecność amerykańską jako całościowo nowy koncept obecności amerykańskiej - dodał.

Ocenił, że kluczowa jest nie tylko liczba żołnierzy, ale również zdolności, zaś znaczenie ma sama zmiana formuły - z rotacyjnej na stałą - jako sygnał „i wobec wschodu, i wobec zachodu".

Jeszcze przed spotkaniem Rubia z Przydaczem, szef ambasady RP w USA Bogdan Klich przekazał doradcy Rubia dokumenty MON na temat planów przyjęcia w Polsce na stałe amerykańskiego kontyngentu.

OBECNIE W NASZYM KRAJU STACJONUJE OKOŁO 10 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH, CHOĆ ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ Z NICH W FORMULE ROTACYJNEJ

Gen. Stanisław Koziej, były szef BBN, w rozmowie z „Faktem" wyjaśnił, że Amerykanie oceniają teraz, gdzie są największe potrzeby i jakiego rodzaju są to potrzeby, a potem stosownie do tej oceny podejmą odpowiednią decyzję.

Zdaniem wojskowego trudno dzisiaj przewidywać, jaka ona będzie decyzja.

- Z wypowiedzi po stronie polskiej, europejskiej i amerykańskiej wynika, że wszystko jest jeszcze możliwe. Zmieniło się to, że Amerykanie nie wykluczają stałej obecności wojskowej w Polsce, uważają ją za jedną ze swoich opcji, więc prowadzą negocjacje nad wariantami takiego rozmieszczenia. To jest dla nas bardzo ważne - podkreślił gen. Koziej.

Jego zdaniem jednym z elementów, który może odegrać istotną rolę co do decyzji na „tak" lub „nie", będzie nasza oferta.

- Miejsc, zabezpieczenia finansowego, prawnych gwarancji, wszystkich parametrów dotyczących obecności wojskowej. Kalkulują, czy zagwarantujemy im warunki, które będą bardziej atrakcyjne niż w przypadku obecności rotacyjnej - tłumaczył były szef BBN. - Natomiast uważam, że z ich perspektywy czynnikiem rozstrzygającym będzie analiza „plusów i minusów" w relacjach z Rosją. Obecność przy granicach Rosji ma przede wszystkim wymiar strategiczny, nie tylko taktyczno-finansowy - ocenił gen. Koziej.

Wojskowy wskazał, że „musimy czekać na wyniki analiz" i wyraził nadzieję, że „na szczycie NATO w Ankarze usłyszymy od Amerykanów coś więcej o ustaleniach z tego przeglądu, który ma istotny kontekst natowski".

- Wiemy, że się nie spieszą, dali sobie czas do końca roku. Po naszej stronie, poza czekaniem, jest przedstawienie oferty i podrzucanie im argumentów strategicznych na rzecz takiego ruchu -podsumował gen. Koziej.

Wiadomo, że do Ankary na szczyt NATO poleci prezydent Karol Nawrocki na, szef dyplomacji Radosław Sikorski i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, ale delegacja będzie o wiele szersza niż wspomniani ministrowie.

Czy przywiozą z Ankary nowe informacje w sprawie stałej obecności amerykańskich wojsk w Polsce? Trudno powiedzieć, na pewno politycy będą te kwestie poruszać.

Obecnie w naszym kraju stacjonuje rotacyjnie i w ramach stałej obecności około 10 tysięcy żołnierzy amerykańskich, choć zdecydowana większość z nich w formule rotacyjnej. Kluczowe elementy ich rozmieszczenia to stałe Wysunięte Dowództwo V Korpusu Sił Lądowych USA w Camp Kościuszko w Poznaniu oraz Garnizon Armii Stanów Zjednoczonych (również w Poznaniu), który zapewnia wsparcie administracyjne i logistyczne. W formule stałej, czyli w postaci stałych baz, w których rozmieszczone są konkretne jednostki sił, amerykańscy żołnierze mieszkają w Polsce przez dłuższy czas, często sprowadzają wtedy do Europy swoje rodziny. W formule obecności rotacyjnej amerykańscy żołnierzy przyjeżdżają do Polski na okres kilku miesięcy, a potem są zmieniani przez osoby z innej jednostki o podobnych zdolnościach. PAP

eprasa.pl d81d53de47

JANKEES COME TO OBORNIKI? WSZYSCY BARDZO CHCĄ BAZY USA

Poznań lub Wrocław znalazły się na krótkiej liście potencjalnych lokalizacji stałej bazy wojsk USA w Polsce. Amerykanie chcą sprowadzić około 5 tys. żołnierzy wraz z rodzinami. Baza miałaby powstać na obrzeżach, ale żołnierze chcą mieć blisko do dużego miasta

Paweł Antuchowski



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

SZEF MON Władysław Kosiniak-Kamysz był w Poznaniu 28 czerwca. Czy rozmawiał z Jackiem Jaśkowiakiem o bazie USA?

Zaczęło się niewinnie od krążącej od połowy czerwca w różnych mediach sensacyjnej informacji. Oto 5 tys. amerykańskich żołnierzy ma znaleźć nowy dom w nowej bazie wojskowej, gdzie na stałe przeprowadzą się wraz z rodzinami.

Jak się chwilę później okazało, na polskie Ramstein, czyli miejsce, gdzie wzorem tego niemieckiego miasta taki obiekt miałby powstać, jest typowany Wrocław lub Poznań. Wiadomość o wytypowaniu stolicy Wielkopolski była dość niespodziewana dla opinii publicznej, jednak nie wywołała zaskoczenia wśród wielkopolskich parlamentarzystów.

- Ta informacja krążyła w Sejmie od kilku dni - komentował w ubiegłym tygodniu dla „Głosu Wielkopolskiego" Jarosław Urbaniak, poseł i szef wielkopolskiej Koalicji Obywatelskiej. - Mam nadzieję, że połączymy siły ponadpartyjnie i nie tylko politycy, ale i inne wpływowe osoby będą lobbować, w tym pozytywnym sensie tego słowa, żeby to była lokalizacja poznańska - stwierdził.

Konieczność łączenia sił ponad podziałami podkreślali też politycy z współrządzącej Polski 2050, a także z Prawa i Sprawiedliwości.

- Każde zwiększenie obecności wojsk amerykańskich w Polsce to jest ogromne wzmocnienie naszego bezpieczeństwa - podkreślał Zbigniew Hoffmann, poseł PiS. - Jeszcze w czasie naszych rządów miałem okazję zwiedzać bazę w Powidzu, która stanowi sporą przestrzeń i pokazano nam fragmenty będące wtedy jeszcze w budowie. To nadzorowali Polacy i budowały polskie firmy. Tu jest szansa na to, żeby dolary płynęły do polskich przedsiębiorstw i Polacy mieli miejsca pracy. To daje podwójną satysfakcję - zauważa członek komisji obrony narodowej.

Tort w kolorze khaki

Koszt budowy potężnej, 500-hektarowej bazy wojskowej, wraz z miasteczkiem wojskowym, jest szacowane na nawet 12 mld zł. Tak spory strumień pieniędzy z Polskiego budżetu to łakomy kąsek dla każdego samorządu. A to dopiero początek. Tego typu obiekt jest generatorem potężnych źródeł dochodów dla lokalnych firm, które będą dostarczały nowemu miasteczku wszystkiego, co niezbędne do życia.

Gdy firmy zarabiają, płacą podatki, zarabia gmina, powiat i województwo. Nie mówiąc już o wpływach z podatku od nieruchomości. Nic dziwnego, że nie tylko posłowie z Wielkopolski, ale i samorządowcy będą robili wiele, aby zaprezentować się z jak najlepszej strony i ten „tort" do siebie przyciągnąć.

Pierwszym z nich okazał się prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. Publicznie powiedział, że w stolicy Wielkopolski i powiecie poznańskim najzwyczajniej w świecie nie ma dostatecznie dużego terenu, który pomieściłby amerykańskich wojskowych wraz z rodzinami. Ale za to zwrócił uwagę, że niedaleko jest taki teren i to dość atrakcyjnie zlokalizowany.

Konkretnie chodzi o obszar znajdujący się na terenie gminy Oborniki, między wsiami Sepna, Nieczajny i Lulina. Potężny, 1500-hektarowy teren znajduje się niedaleko granicy z powiatem poznańskim, gminą Rokietnica i samego Poznania. Jeszcze niedawno trwała ożywiona dyskusja wśród mieszkańców gminy związana z planami zabudowy.

Jego właściciel, firma CLIP Group, która jest właścicielem potężnego centrum logistycznego w podpoznańskim Jasinie, jeszcze niedawno chciała stworzyć tam Poznań North Economic Zone, czyli największą w Polsce strefę przemysłową. Większą od podwrocławskich Kobierzyc.

Baza zamiast fabryk?

Wizją właściciela było sprowadzenie inwestorów w branży nowych technologii. Mówiło się nawet o próbach nawiązania współpracy z tajwańskim producentem półprzewodników, który szuka miejsca dla swojej nowej fabryki w Polsce.

Plany te wzbudziły kontrowersje wśród mieszkańców. Oto teren, który od lat było obszarem rolniczym i formalnie wciąż nim jest, nagle ma zostać zamieniony w gigastrefę ekonomiczną, która będzie zakłócała spokój mieszkańców chcących uciec od miejskiego zgiełku. Czują się oni w pewien sposób pokrzywdzeni, bo oni musieli dbać o odpowiednie krzywizny dachów i poziom prześwitów płotów, żeby nie zaszkodzić ptasim lęgom na znajdującym się tam obszarem Natura 2000. A nagle ma się pojawić inwestor, który potencjalnie nie będzie musiał się tym przejmować.

Tymczasem projekt budowy w tym miejscu bazy wojskowej może być paradoksalnie odpowiedzią na tego typu zarzuty mieszkańców. Tak przynajmniej twierdzi rzecznik prasowy obornickiego urzędu miasta i gminy. Według Krzysztofa Nowackiego baza stanowiłaby mniejszą ingerencję w środowisko niż centrum przemysłowe.

- Na razie docierają do nas tylko strzępy informacji o trwających rozmowach na szczeblu ministerialnym - komentuje „Głosowi Wielkopolskiemu" Tomasz Szrama, burmistrz Obornik. - Udało nam się tylko dowiedzieć, że są rozpatrywane tereny pod Wrocławiem i właśnie Oborniki. A ten teren jest jedynym na tyle dużym, gdzie coś takiego mogłoby powstać.

Jak zauważa, teren ten znajduje się na południowym skraju gminy i sąsiaduje między innymi z gminą Rokietnica. Stosunkowo niedaleko jest także granica Poznania. Mieszkańcy Obornik raczej nie odczuliby większych uciążliwości związanych z funkcjonowaniem takiej bazy. Największy ruch kierowałby się w stronę Poznania, a nie Obornik.

Zapiski palcem po wodzie

Kwestią otwartą pozostawałaby także rola w tej sprawie budowy ekspresówki S11 w Wielkopolsce. Według Urbaniaka jej możliwie jak najszybsza budowa byłaby kluczowa z punktu widzenia funkcjonowania stałej bazy wojskowej na tym obszarze. Według burmistrza, przynajmniej w kwestii obwodnicy Obornik, wszystko idzie zgodnie z planem.

Zwraca uwagę, że wszystko to, o czym obecnie się mówi wokół potencjalnej budowy bazy, stanowi pisane palcem po wodzie dywagacje. Nie zapadły jeszcze żadne konkretne decyzje, a jeśli się tak stanie, to raczej gmina nie będzie miała za dużo do powiedzenia. I to pomimo pozytywnego odzewu.

Nie wiadomo też, czy trwają jakiekolwiek rozmowy właściciela terenu z przedstawicielami Ministerstwa Obrony Narodowej. W biurze zarządu firmy dowiedzieliśmy się tylko, że „nic o tym nie wiadomo". Według rzecznika gminy Oborniki informacja o lokalizacji bazy miała pojawić się podczas obchodów 70. Rocznicy Poznańskiego Czerwca 1956 Roku.

Wtedy to stolicę Wielkopolski odwiedził wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, a prezydent Poznania był współgospodarzem obchodów. Można jedynie przypuszczać, że to stąd wzięła się ta informacja, wygłoszona przez Jacka Jaśkowiaka dzień później już publicznie. Są jednak i tacy, którzy uważają, że ta deklaracja była przedwczesna i może zostać przez ministerstwo źle odebrana. Czy zatem baza wojsk amerykańskich powstanie pod Obornikami? Decyzja pozostaje w rękach Amerykanów.

REKLAMA 0211461412



eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

– Rosjanie nie mogą uwierzyć w to, co sami Ukraińcy i Polacy sobie zgotowali. Myślę, że ani w interesie Polski, ani w interesie Ukrainy nie jest dalsze wywoływanie napięcia. Raczej należy uspokajać emocje, a nie je zaostrzać, bo to stara prawda, ale niezmiennie aktualna – o czym część komentatorów i opinii publicznej lubi przypominać, ale bardzo szybko o tym zapomina – że na naszych sporach korzyści odnosi tylko ten trzeci – mówi Wojciech Konończuk, politolog, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich

Dorota Kowalska

KONOŃCZUK: NA KREMLU OD WIELU TYGODNI STRZELAJĄ KORKI OD SZAMPANA

Myśli Pan, że na linii Kijów – Warszawa będzie już tylko gorzej?
W najbliższej dającej się przewidzieć przyszłości, czyli w najbliższych miesiącach, myślę, że tak.

Decyzja Wołodymyra Zełenskiego o tym, żeby nadać jednej z jednostek wojskowych imię bohaterów UPA, to była decyzja przemyślana? Prezydent Ukrainy wiedział, jaką burzę wywoła w Warszawie?
Wiedział, że ta decyzja wywoła niezadowolenie Warszawy. Niekoniecznie przewidział, że aż na taką skalę, że stopień gniewu polskiego społeczeństwa będzie tak duży. Ale wielokrotnie w ciągu ostatnich lat był przestrzegany przed podobnymi decyzjami na poziomie ogólnopaństwowym, ukraińskim. Mimo tego podjął tę decyzję z premedytacją.

Dlaczego, Pana zdaniem?
Myślę, że z kilku względów. Po pierwsze – uznał, że może Polskę zignorować. Po drugie – liczył na to, że Polska zareaguje w sposób gniewny, a to spotka się z odpowiedzią społeczeństwa ukraińskiego i przykryje pewne niewygodne dla Zełenskiego tematy w polityce wewnętrznej, choćby te związane z korupcją. Więc w tym sensie, jeśli liczył na konsolidację ukraińskiego społeczeństwa wokół siebie, to można powiedzieć, że odniósł większy sukces niż mógł oczekiwać.

Czyli ta decyzja była kierowana wyłącznie potrzebami polityki wewnętrznej?
Tak uważam.

Ale z drugiej strony Polska pomagała Ukrainie przez ten ostatni czas. To dla Zełenskiego nie ma znaczenia?
Myślę, że prezydent Zełenski już kilkukrotnie w przeszłości pokazywał, że ma krótką pamięć. Jego wystąpienie we wrześniu 2023 roku w ONZ, kiedy porównał Polskę do Rosji, jest tego najlepszym przykładem. Wielu partnerów Ukrainy mogłoby się poskarżyć na ukraiński brak wdzięczności.

To może przyznanie Zełenskiemu Orderu Orła Białego przez prezydenta Dudę było błędem?
Nie chciałbym komentować tej decyzji.

Teraz prezydent Ukrainy ogłosił, że złożył projekt ustawy dotyczącej utworzenia od dawna dyskutowanego w kraju Panteonu Narodowego – miejsca pamięci ku czci osób, które w różnych epokach walczyły o wolną Ukrainę. To pewnie jeszcze zaostrzy sytuację, prawda?

AUTOPROMOCJA 0011547254



eprasa.pl d81d53de47

Tak. Ta decyzja już zaostrza dwustronne relacje, szczególnie że do projektu tej ustawy wpisane jest uhonorowanie głównodowodzących UPA, w tym Romana Szuchewycza. To postać bardzo źle zapisana w historii Polski, współodpowiedzialna za zbrodnię wołyńską. Więc na efekt i negatywną reakcję ze strony Polski nie trzeba było długo czekać.

Jakie jeszcze kłopoty wewnętrzne ma Zełenski, że takimi decyzjami próbuje je przykryć? Oprócz korupcji, o której Pan wspomniał.
Prezydent Zełenski romansuje ze środowiskiem nacjonalistycznym, także z nacjonalistami w siłach zbrojnych Ukrainy. Myślę, że w ostatnich tygodniach sporo w ich oczach zyskał taką nieugiętą postawą wobec Polski. Cała działalność na niwie polityki historycznej prezydenta Zełenskiego jest funkcją jego polityki wewnętrznej. To jest dla niego kluczowe, a nie relacje z partnerami zagranicznymi, w tym z Polską. Poza tym prezydent Zełenski i ukraińskie elity coraz bardziej próbują pozycjonować Polskę jako kraj, z którym będą problemy na drodze Ukrainy do Unii Europejskiej. To wygodne z ich punktu widzenia – wpychanie Polski do tego narożnika, w którym do niedawna stał Orbán jako główny blokujący akcesję Ukrainy do UE.

Ale czemu to wygodne dla Zełenskiego?
Dlatego że droga Ukrainy do Unii Europejskiej będzie długa, trudna i niekoniecznie skończy się sukcesem. I to nie ze względu na stanowisko Polski. Tylko, po pierwsze, ze względu na trudność reform po stronie ukraińskiej – przynajmniej na część z nich ukraińskie elity nie mają ochoty. Te reformy bardzo głęboko zmieniłyby ukraiński system polityczny. A z drugiej strony, widzimy też, że w wielu krajach Unii Europejskiej nie ma ochoty na to, żeby Ukrainę wpuszczać na takich samych zasadach, jak to było w przypadku wcześniejszych rozszerzeń, do Unii Europejskiej. Więc mimo różnych obietnic, które władze ukraińskie i sam Zełenski składali społeczeństwu ukraińskiemu, mówiąc, że to będzie szybka akcesja, szybka ścieżka, to się nie wydarzy. Rozczarowanie Ukraińców może być ogromne. Więc z tego punktu widzenia kozioł ofiarny Kijowowi bardzo by się przydał.

I tym kozłem ofiarnym ma być Polska?
Tym kozłem ofiarnym może być Polska, jeśli damy się do tego narożnika zagonić. Nie uważam, że Polska powinna w jakikolwiek sposób sugerować, że będziemy głównym blokującym wstąpienie Ukrainy do UE. Raczej powinniśmy mówić o tym, że Ukraina musi spełnić wszystkie kryteria związane z procesem akcesyjnym, a jeśli ktoś z powodów politycznych chciałby blokować wejście Ukrainy do UE, to niech to będą inni, nie Polska.

Jak bardzo silne są obecnie nacjonalistyczne nastroje w Ukrainie?
Ukraina jest krajem, który prowadzi od ponad czterech lat pełnoskalową wojnę obronną. W przypadku każdego społeczeństwa w warunkach konfliktu zbrojnego wzrost nacjonalizmu jest naturalny. Nie jest tak, że w Ukrainie nastroje nacjonalistyczne są powszechne, choć one na pewno są większe niż przed wojną. Nie dzieje się tam jednak nic, co w jakkolwiek sposób kazałoby mówić, że Ukraina ma ogromny problem z nacjonalizmem.

Powiedział Pan, że dla Zełenskiego w tym momencie ważniejsza jest polityka wewnętrzna niż partnerzy, ale przecież Europa jest Zełeńskiemu potrzebna!
Tak. Prezydent Zełenski i elity ukraińskie zachowują się w sposób niezwykle asertywny, jakby to oni mogli wybierać, kto z zewnątrz będzie im pomagać, ignorując potrzebę czy konieczność zabiegania o taką pomoc. Można powiedzieć, że ukraińska kultura polityczna w tym sensie jest mocno specyficzna.

Czym to jest spowodowane? Czemu Zełenski czuje się tak pewnie?
Ta pewność siebie spowodowana jest na pewno zawrotem głowy „od sukcesów" – mamy relatywnie dobrą sytuację na froncie od początku tego roku, ataki na rafinerie i instalacje energetyczne wewnątrz Rosji, udane ultimatum wobec Białorusi, zaproszenie Ukrainy na G7. Taka mania wielkości po stronie ukraińskiej – ona była obecna od początku ukraińskiej niepodległości, ale dzisiaj widoczna jest w sposób wyjątkowy. Tyle tylko, że w całej tej sytuacji Ukraińcy zapominają, że Ukraina nie byłaby w stanie tej wojny obronnej prowadzić bez wsparcia zagranicznego. Ukraiński budżet miałby pięćdziesięcioprocentowy deficyt bez wsparcia finansowego ze strony Unii Europejskiej. Ukraina jest dzisiaj utrzymankiem Zachodu, a wojnę obronną prowadzi wyłącznie dzięki temu, że ma wsparcie, które do niej płynie, o czym Ukraińcy zdają się nie pamiętać.

Tylko taka postawa może prowadzić do tego, że w końcu Europa trochę się wkurzy, mówiąc kolokwialnie.
Ukraina wie, że Europa popiera Ukrainę także we własnym interesie, bo przegrana Ukrainy w tej wojnie nie byłaby dobra dla europejskiego bezpieczeństwa. I myślę, że tym głównie grają Ukraińcy, bo rzeczywiście tak jest. Fakt, że Ukraina jest w stanie efektywnie powstrzymać wojska rosyjskie, wzmacnia również nasze bezpieczeństwo. Chociaż ukraińska mania mówienia o tym, że gdyby nie armia ukraińska, to nawała rosyjska zalała pół Europy, jest fantazją.

To kto jest dzisiaj w Europie dla Zelenskiego partnerem? Niemcy? Francja?
Ukraina ma kilku głównych partnerów. To są te państwa, u których oni widzą największy potencjał polityczny i finansowy do wspierania Ukrainy. To są Niemcy, to są państwa skandynawskie, w temacie politycznym także Francja, ale też Wielka Brytania.

Jak Pan myśli, w którym momencie postąpiliśmy źle, jeżeli chodzi o nasze stosunki z Ukrainą, bo jesteśmy w miejscu, w którym jesteśmy? Co było naszym błędem?
Uznawanie, że Ukraina ma wobec Polski jakiekolwiek sentymenty. Największa część naszej pomocy to były pierwsze miesiące pełnoskalowej agresji rosyjskiej, nie oczekując niczego w zamian, gdyż uznawaliśmy, że w ówczesnej sytuacji byłoby to niemoralne. Zrobiliśmy w 2022 roku to, co należało zrobić, bo porażka Ukrainy wówczas oznaczałaby drastyczne pogorszenie polskiego bezpieczeństwa.

Słyszałam opinie, że być może było za dużo „achów" i tej miłości w stosunku do Ukrainy, że być może trzeba było kierować się bardziej zdrowym rozsądkiem, być bardziej racjonalnym.
Biorąc pod uwagę, w jakim stanie emocjonalnego uniesienia było polskie społeczeństwo po pełnoskalowej agresji rosyjskiej, czego efektem była ogromna pomoc i otwarcie naszych domów dla ukraińskich uchodźców, to potem pewnie nieuchronne było wielkie rozczarowanie. To jest trochę jak w miłości, prawda? Szczególnie w takich młodzieńczych miłościach, kiedy mamy wielkie zakochanie, a potem czasami przychodzi wielkie rozczarowanie. I mam wrażenie, że jesteśmy właśnie w takim stanie emocjonalnym – wielkiego rozczarowania działaniami naszego ukraińskiego partnera. W związku z tym w polskiej polityce wobec Ukrainy dojdzie do zmian. Pewne rzeczy, które Ukraińcom wydawały się oczy-

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY

0211527068

Ubezpieczeniowe gwarancje wspierają konkurencyjność firm

Żeby się rozwijać, firma musi zdobywać zlecenia na swoje produkty i usługi. W takich branżach, jak budownictwo czy transport oznacza to przede wszystkim wygrywanie przetargów. To jednak wymaga mrożenia gotówki: najpierw na wadium, potem na różne formy zabezpieczenia kontraktu. Ogranicza to ekspansję wielu przedsiębiorstw. Rozwiązaniem jest propozycja Warty, która oferuje gwarancje ubezpieczeniowe bez konieczności wystawiania papierowego weksla.



O tym, jak ważne jest to rozwiązanie, świadczy fakt, że utrzymanie płynności finansowej to obecnie główne wyzwanie dla polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, co potwierdziły badania Instytutu Keralla Research, przeprowadzone w kwietniu na zamówienie Warty. Jednocześnie w tym samym badaniu aż 46% firm przyznało, że zrezygnowało z kontraktu z powodu barier finansowo-biurokratycznych. Biurokrację zaś, jako bezpośredni hamulec rozwoju, wskazał co piąty przedsiębiorca.

Dobry czas dla ekspansji firm

Gospodarka każdego kraju naturalnie się zmienia – okresy szybkiego wzrostu regularnie przeplatają się ze spowolnieniem. Cała sztuka polega na tym, aby dobre czasy trwały jak najdłużej, a kryzysy były krótkie i łagodne.

Obecnie prognozy dla Polski wyglądają optymistycznie. Dzięki wsparciu z funduszy unijnych nasz krajowy produkt rośnie w tempie ponad 3% rocznie i podobne tempo prognozowane jest na lata kolejne. To oznacza stały popyt na oferowane przez polskich przedsiębiorców towary i usługi. Jednocześnie, w przywołanym już badaniu na zlecenie Warty, aż 68% przedsiębiorców deklaruje wprost: gdyby formalności było mniej, bralibyśmy udział w większej liczbie przetargów.

Kluczem do sukcesu w przetargach – obok prostszych procedur – jest uwolnienie firmowych pieniędzy na każdym etapie walki o kontrakt. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom finansowym, firmy nie muszą już zamrażać własnej gotówki na kontach inwestorów ani obciążać swojego limitu kredytowego w banku.

Finansową płynność można zachować od samego początku. Zamiast wpłacać gotówkowe wadium na start, firma może elastycznie przystąpić do przetargu. Kolejny zysk pojawia się przy podpisaniu umowy: zanim wpłyną pierwsze płatności za realizację, firma chroni swój kapitał obrotowy, zabezpieczając kontrakt bez angażowania własnych środków. Chroni to biznes również przed ryzykiem opóźnień czy niesłusznych roszczeń.

Największą korzyść widać w sytuacjach spornych. Bezpieczne instrumenty finansowe gwarantują, że nawet podczas rozmów z inwestorem, firmowy kapitał pozostaje wolny i cały czas pracuje na kolejne sukcesy przedsiębiorstwa.

Partner dający przewagę

Warta pomaga uczestnikom przetargów uwolnić zamrożony kapitał dzięki szerokiej ofercie gwarancji. Gwarancje przetargowe umożliwiają firmom udział w postępowaniach bez konieczności angażowania własnych środków finansowych. Z kolei gwarancje należytego wykonania kontraktu oraz usunięcia wad i usterek wzmacniają wiarygodność przedsiębiorstwa w oczach inwestorów, a jednocześnie zapewniają ochronę na wypadek problemów związanych z realizacją zamówienia. Dla firm, które po wygraniu przetargu mogą skorzystać z płatności zaliczkowej, czyli częściowej zapłaty za kontrakt przed rozpoczęciem realizacji prac, Warta oferuje zabezpieczenie wymagane od zamawiającego, aby wypłata środków pieniężnych na konto wykonawcy była możliwa. Są to tak zwane gwarancje zaliczkowe. Wachlarz propozycji zamykają zaś gwarancje specjalistyczne.

Największym atutem Warty jest pełna cyfryzacja – w przypadku gwarancji do 500 tysięcy złotych i maksymalnemu zaangażowaniu do wysokości 2 milionów złotych, nie ma wymogu złożenia papierowego weksla. Jako pierwszy ubezpieczyciel na rynku Warta na szeroką skalę eliminuje papierowy obieg dokumentów. Dzięki temu proces jest błyskawiczny i całkowicie cyfrowy od początku do końca.

Współpraca z Wartą to dla firm potrójny zysk: oszczędność czasu, bezpieczna płynność finansowa i wyższa wiarygodność na rynku. To trzy filary, które budują sukces w każdym biznesie.

eprasa.pl d81d53de47

wiste, przestaną takie być. Myślę,
że jakiś etap w relacjach dwustronnych się kończy.

Myśli Pan, że nie będziemy tym państwem, które będzie brało czynny udział w odbudowie Ukrainy? Bo o to teraz też toczy się gra.
Polska weźmie udział w od-budowie Ukrainy. To będzie na tyle duży projekt, że wiele polskich firm weźmie w nim udział jako wykonawcy albo podwykonawcy. Nie da się odbudować Ukrainy bez Polski nie tylko ze względu na geografię, ale również ze względu na to, że z Polski można najszybciej i najtaniej sprowadzić odpowiednią ilość towaru. Pamiętajmy, że to projekt docelowo wart kilkaset miliardów euro; pytanie, jaką część z tych środków w ogóle uda się zgromadzić. Mówimy tu o wsparciu zewnętrznym. Ukraina sama tych środków nie wygeneruje. To będą także środki państw unijnych i samej Unii Europejskiej, której Polska jest członkiem. W państwach Europy Środkowej, w związku z funduszami unijnymi, często już teraz i w kolejnych latach są do wydatkowania porównywalne sumy. Mówimy tu o różnych projektach infrastrukturalnych, budowie autostrad, szlaków kolejowych w Europie Środkowej i w państwach bałtyckich. Więc wiele polskich firm, przynajmniej tak od nich słyszę, podnosi, że te pieniądze już tutaj są na terenie Unii Europejskiej, one są znacznie łatwiejsze do wykorzystania. Nie ma tam równych barier prawnych, kwestii korupcyjnych, jakie są w Ukrainie.
Rynek ukraiński, jeśli chodzi o inwestycje zagraniczne i udział w różnego rodzaju projektach publicznych,
nigdy nie był łatwy.

Jak Pan myśli, jak teraz mogą potoczyć się stosunki polsko-ukraińskie?
To będzie zależało w dużym stopniu od Kijowa, który w ostatnich tygodniach kilkukrotnie nas prowokował. Pytanie jest takie, czy w Kijowie zwycięży zdrowy rozsądek, czy raczej Zełenski i jego ludzie uznają, że dalsze eskalowanie konfliktu przynosi zyski w polityce wewnętrznej. Myślę, że ani w interesie Polski, ani w interesie Ukrainy nie jest dalsze wywoływanie napięcia. Raczej należy uspokajać emocje, a nie je zaostrzać, bo to stara prawda, ale niezmiennie aktualna – o czym część komentatorów i opinii publicznej lubi przypominać, ale bardzo szybko o tym zapomina – że na naszych sporach korzyści odnosi tylko ten trzeci.

Czyli Rosja.
Tak jest.

Mnie decyzje Zełenskiego dziwią też o tyle, że prezydent


FOT. PRESIDENTIAL OFFICE OF UKRAINE/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

Konończuk: Nie oczekiwałbym zmiany obecnej polityki w Kijowie. Nie mam wrażenia, że po stronie prezydenta Zełenskiego zwycięży zdrowy rozsądek

Ukrainy wie, iż w Polsce żyje dzisiaj półtora miliona Ukraińców, a takie zachowanie wzmaga nastroje antyukraińskie, prawda?
Niestety tak, i to też jest problem. Także po naszej stronie mamy pewną rzecz do wykonania: nie powinniśmy przenosić naszych negatywnych emocji z Zełenskiego na Ukraińców, którzy w Polsce pracują, a którzy są Bogu ducha winni. Trzeba rozdzielić negatywną ocenę polityki Kijowa od pozytywnej oceny wkładu, który wnoszą do naszej gospodarki i społeczeństwa Ukraińcy pracujący w Polsce.

Jak może się zakończyć konflikt ukraińsko-rosyjski? Widać że, tak jak Pan sam powiedział, Ukraina ma coraz więcej sukcesów na froncie. Myśli Pan, że dojdzie do pokoju, jakieś formy zawieszenia broni?
Nie spodziewałbym się tego szybko. Wydaje mi się, że Rosjanie są maksymalistami i będą chcieli tę wojnę prowadzić do przyjęcia ich warunków przez Kijów. To się nie wydarzy. Uważam, że Rosja tej wojny nie jest w stanie wygrać, nie jest w stanie odnieść sukcesu. Natomiast zarazem nie jest też w stanie zrezygnować z próby osiągnięcia swoich celów wobec Ukrainy. Więc ta wojna będzie trwała jeszcze długo, niestety. Mimo tego, że sytuacja na froncie, jak już mówiliśmy, jest dla strony rosyjskiej gorsza niż była choćby w ubiegłym roku.

Prawdą jest to, o czym piszą niektóre media, że sytuacja gospodarcza i społeczna w Rosji jest coraz gorsza?
Ona się pogarsza, natomiast to nie jest czynnik, który sprawiłby, że Kreml zrewidowałby swoją politykę wobec Ukrainy.

Pisze się też o tym, że rośnie niezadowolenie elit kremlowskich, że być może to obróci się przeciw Putinowi.
Mamy rzeczywiście różne grupy w elicie kremlowskiej. Natomiast głównym decydentem był, jest i będzie Władimir Putin. Nic nie wskazuje na to, aby on chciał zatrzymać konflikt zbrojny. Wydaje się też, że mimo głosów niezadowolenia sytuacja w elitach rosyjskich jest cały czas pod kontrolą Putina. On ma też wszelkie instrumenty, aby ewentualne głosy niezadowolenia dyscyplinować. W tym sensie chcę powiedzieć, że ta wojna, mimo różnych problemów wewnętrznych, będzie trwała.

Jednej rzeczy nie rozumiem: mówimy o odbudowie Ukrainy, o nowych projektach, o pieniądzach Unii, ale trwa wojna. Jak odbudowywać kraj, który jest cały czas bombardowany, atakowany?
Trzeba rozdzielić dwie rzeczy. Tę wielką odbudowę, która może się rozpocząć dopiero po wstrzymaniu ognia, z działaniami punktowymi, kiedy trzeba odbudowywać, remontować, naprawiać zniszczone budynki administracji publicznej, mosty, drogi. Rozdzielmy dwie rzeczy: odbudowę od takich właśnie działań punktowych. Kolejna rzecz: mówimy trochę w uproszczeniu „odbudowa", ale to ma być transformacja Ukrainy. Te wielkie fundusze, o których się mówi, tylko w części przeznaczone są na odbudowę tego, co zostało zniszczone, a w większym stopniu na transformację ukraińskiego systemu energetycznego, infrastruktury drogowej, kolejowej i tak dalej. Więc tak naprawdę chodzi w dużym stopniu o środki na modernizację gospodarki państwa ukraińskiego.

Co musiałoby się stać, żeby napięta sytuacja w relacjach polsko-ukraińskich zmieniła się na lepsze?
Nie oczekiwałbym zmiany obecnej polityki w Kijowie. Nie mam wrażenia, że po stronie prezydenta Zełenskiego zwycięży zdrowy rozsądek. Sam fakt, że Zełenski zignorował konferencję o odbudowie Ukrainy w Gdańsku, która była przecież organizowania przede wszystkim dla Ukrainy, mówi sam za siebie. Byli tam premierzy różnych państw, najważniejsi politycy od Niemiec, Szwecji po Rumunię, a nie było prezydenta Ukrainy. Wydaje mi się, że pewne urazy, które Zełenski długo nosi, będzie nosił dalej, co będzie wpływać na atmosferę w relacjach dwustronnych.

Ale urazy w stosunku do Polski o co?
On jest przede wszystkim oburzony odebraniem mu Orderu Orła Białego. Zełenski przekonuje, że Polska wtrąca się do ukraińskiej polityki historycznej, że to my jesteśmy tą stroną, która eskaluje konflikt, przynajmniej tak to próbuje pokazać wewnętrznie w przekazie płynącym do Ukraińców. A zarazem sam instrumentalizuje relacje z Polską, jak już mówiliśmy, dlatego, żeby skonsolidować wokół siebie społeczeństwo ukraińskie.

To zabawię się trochę w adwokata diabła: być może rzeczywiście trzeba to było zostawić? Niech sobie Ukraińcy sami wybierają swoich bohaterów narodowych, niech oddają cześć komu chcą.
Jest to rzeczywiście kwestia, o które decydują Ukraińcy, oni mogą sobie wybierać takich bohaterów, jakich uważają za stosowne. Natomiast my mamy prawo mówić, co o tym myślimy. Jeśli nie podoba nam się choćby Roman Szuchewycz czy ktokolwiek inny, kto jest odpowiedzialny za masowe zbrodnie na polskich cywilach, to mamy wręcz obowiązek, żeby zaprotestować. Kijów musi wiedzieć, że to się spotka z polskim niezadowoleniem. Zresztą proszę zwrócić uwagę, że kiedy w 2016 roku polski Sejm przyjął uchwałę o nazwaniu zbrodni wołyńskiej ludobójstwem, to mieliśmy bardzo daleko idące protesty i negatywny stosunek ze strony ukraińskich polityków i społeczeństwa. Więc z jednej strony Ukraińcy mówią: „To jest nasza suwerenność, sprawa wewnętrzna", ale w 2016 roku tak nie uważali, jeśli chodzi o polskie decyzje.

To chyba źle, kiedy historia – chociaż oczywiście jest bardzo ważna, bo trzeba o niej pamiętać i się na niej uczyć – tak bardzo rzutuje na teraźniejszość i przyszłość...
To prawda. Myślę, że źle się dzieje, kiedy jakiekolwiek państwo i naród są zakładnikami historii, kiedy ta historia rzutuje na współczesność. Historia jest ważna, ale zarazem są sprawy, które dla współczesnych są ważniejsze niż kwestie symboliczne. Ale z drugiej strony myślę, że nasza emocjonalna reakcja na różne decyzje ukraińskie z ostatnich tygodni wynika z tego – zabrzmi to trochę paradoksalnie – pozytywnego ładunku emocji, które nagromadziły się w polskim społeczeństwie wobec Ukrainy od 2022 roku. I potem takiego przekonania, że jednak przyjaciele czy partnerzy, którym pomogliśmy, nie zachowali się jak trzeba, że to było zagranie nie fair. Ukraińcy mówią, że są nam wdzięczni, dziękują za pomoc z 2022 roku w szczególności. Tyle tylko, że jeśli ktoś jest wdzięczny, nie postępuje w podobny sposób. Mam wrażenie, że Ukraińcom brakuje dzisiaj zrozumienia polskiej wrażliwości i w efekcie mamy to, co mamy.

Ukraińcy dobrze się w Polsce zadomowili i myśmy ich też dobrze przyjęli. Wtopili się w nasze społeczeństwo, tak jak Pan mówi, pracują tu, posyłają dzieci do polskich szkół, płacą podatki. Wydaje mi się, że ta sytuacja aż tak bardzo antyukraińskich nastrojów nie wzmaga.
Nie mamy jeszcze żadnych badań, które by to pokazywały po tej eskalacji konfliktu z ostatniego miesiąca. Wcześniej nie było rzeczywiście większych problemów, jeśli chodzi o to, jak Ukraińcy byli przyjmowani w Polsce. Mam jednak wrażenie, że atmosfera wokół nich się generalnie zmienia. Mniejsze czy większe incydenty są szybko nagłaśniane i trzeba na nie reagować. Nie może być przyzwolenia na tego typu negatywne zachowania, ale też nie należy ich wyolbrzymiać. Nie należy robić tego, co próbował robić w niedawnym swoim wystąpieniu minister spraw zagranicznych Ukrainy Andriej Sybiha, rysując nieprawdziwy obrazek, jakoby Ukraińcy byli w Polsce masowo prześladowani.

Najsmutniejsze jest to, o czym już sobie powiedzieliśmy: ta sytuacja najbardziej cieszy Kreml, prawda?
Tak, myślę, że na Kremlu od wielu tygodni strzelają korki od szampana i Rosjanie nie mogą uwierzyć w to, co sami Ukraińcy i Polacy sobie zgotowali.

CV


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Konończuk
Dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Wcześniej zastępca dyrektora, kierownik Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii oraz analityk ds. polityki zagranicznej i energetycznej Rosji w Zespole Rosyjskim OSW.

eprasa.pl d81d53de47

PROBLEM Z PROSEKTORIUM

Warszawski Szpital Południowy rozwiązał umowę o pracę z pracownikiem pełniącym funkcję koordynatora prosektorium, bez wypowiedzenia, z winy pracownika

Mateusz Łuba

W opublikowanym oświadczeniu wyjaśniono, że podstawą decyzji jest ciężkie naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych, w szczególności obowiązku dbałości o dobre imię szpitala, lojalności wobec pracodawcy oraz - co najważniejsze - poszanowania kultu osoby zmarłej i bólu jej najbliższych.

- Funkcja koordynatora prosektorium wiąże się z obowiązkiem zachowania najwyższego standardu postępowania z ciałem osoby zmarłej oraz poszanowania kultu osoby zmarłej i uczuć rodzin, a także z obowiązkiem dbałości o zaufanie rodzin zmarłych do Szpitala oraz o dobrą opinię Szpitala w oczach rodzin. Wszelka bezpośrednia lub pośrednia próba sprowadzania śmierci człowieka do komercjalizacji albo nawet stworzenie przestrzeni na taką komercjalizację jest nieakceptowalna - podkreślono w komunikacie.

Przedstawiciele szpitala zwrócili również uwagę na oświadczenie rzecznika Prokuratury Okręgowej w Warszawie, prok. Piotra Antoniego Skiby, z 1 lipca. Jak wskazano, w toku postępowania przeanalizowano materiał dowodowy dotyczący pojawiających się publicznie zarzutów o rzekomy „handel zwłokami".

W oświadczeniu podkreślono, że przesłuchano świadków, jednak nie potwierdzono praktyk polegających na narzucaniu rodzinom wyboru konkretnej firmy pogrzebowej. Śledczy nie odnotowali również żadnych dowodów wskazujących na takie działania.

Podkreślono, że wypowiedzi niektórych mediów o rzekomym „handlu ciałami zmarłych" w Szpitalu Południowym nie znajdują potwierdzenia w faktach w świetle ustaleń prokuratury.



FOT. SZYMON STARNAWSKI

Warszawski Szpital Południowy wydał oświadczenie w sprawie nieprawidłowości w prosektorium

W związku z funkcjonowaniem prosektorium Warszawski Szpital Południowy złożył do prokuratury dwa zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa.

Pierwsze dotyczyło ujawnienia urządzeń podsłuchowych w prosektorium, drugie - publikacji zdjęć wykonanych w prosektorium podczas badań sekcyjnych.

Postępowanie dotyczące podsłuchu zostało umorzone, natomiast w sprawie publikacji fotografii prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa. Jak uznali śledczy, nie doszło do znieważenia zwłok, ponieważ materiały miały charakter edukacyjny i służyły popularyzacji wiedzy z zakresu tanatologii, przyczyn zgonów, skutków urazów oraz zmian ujawnianych podczas badań sekcyjnych. - Apelujemy do mediów o wstrzemięźliwość w ferowaniu publicznych wyroków bez rzetelnego wyjaśnienia najcięższych zarzutów. Prawo społeczeństwa do informacji jest prawem do informacji rzetelnej. Nie jest ono realizowane przez upublicznianie niezweryfikowanych informacji wywołujących zrozumiałe, negatywne emocje opinii publicznej - zaznaczono.

Zarząd szpitala przekazał też, że wszelkie nadużycia będą zwalczane, błędy naprawiane, a konsekwencje personalne wyciągane.

Zwolnienie z pracy koordynatora prosektorium to pokłosie publikacji portalu Zero.pl o kolejnych nieprawidłowościach w Warszawskim Szpitalu Południowym.

Koordynator miał: promować firmę pogrzebową swojej wspólniczki; publikować zdjęcia ciał i szczątków ludzkim na profilach w mediach społecznościowych; wynajmować prosektorium jako plan filmowy.

Oświadczenie wydał nowy zarząd Szpitala Południowego powołany w 18 czerwca. Stary został odwołany przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego po wcześniejszych publikacjach portalu Zero.pl. Dotyczyły one m.in. Dawida Kacprzyka, który jako koordynator SOR-u w Szpitalu Południowym, a także radny KO warszawskiej dzielnicy Ursus, miał w trakcie specjalizacji z anestezjologii zarobić w ubiegłym roku w placówkach medycznych 1,6 mln zł.

PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY PKP INTERCITY

0011545806

Historyczny dzień w Ustce. Pendolino zainaugurowało wakacyjne kursy

Sobota, 27 czerwca, zapisze się w historii usteckiego dworca im. Jacka Graczyka w wyjątkowy sposób. Po raz pierwszy pasażerowie dotarli do tego nadmorskiego kurortu na pokładzie flagowego pociągu PKP Intercity, Pendolino. Mimo że inauguracyjny skład dotarł na miejsce z około 40-minutowym opóźnieniem wywołanym upałami, na stacji czekały witające go tłumy oraz ustecka orkiestra dęta.



Z okazji tego wydarzenia na terenie stacji zorganizowano piknik kolejowy. W godzinach od 16:00 do 21:00 mieszkańcy oraz turyści mogli przetestować profesjonalny symulator jazdy Pendolino, sprawdzić swój refleks w specjalnej strefie oraz wydrukować pamiątkowe, personalizowane pocztówki. Nie zabrakło też darmowych lodów, waty cukrowej i orzeźwiającej lemoniady. Wieczór zwieńczył oficjalny briefing prasowy.

Stulecie PKP

Wydarzenie to zbiegło się w czasie z kolejowym jubileuszem.

- Jest to rok, w którym obchodzimy stulecie powołania do życia przedsiębiorstwa Polskie Koleje Państwowe przez prezydenta Ignacego Mościckiego i właśnie w tym czasie przyjeżdża do Ustki, na Pomorze, Pendolino. W ten sposób chcieliśmy również uczcić ten jubileusz – mówił Dariusz Grajda, wiceprezes PKP S.A.

Szybkie połączenie Śląska i stolicy z Bałtykiem

Przez całe wakacje, aż do 31 sierpnia, pociąg kategorii Express InterCity Premium (EIP) będzie kursować codziennie na wydłużonej trasie z Bielska-Białej, przez Katowice i Warszawę. Skład ma meldować się w Ustce o godzinie 20:21, a w drogę powrotną wyruszy porankami o 7:30.

Połączenie ma oferować rewolucyjny czas podróży. Z Warszawy nad morze pasażerowie Pendolino dotrą w zaledwie 4 godziny i 52 minuty, a podróż z Bielska-Białej potrwa około 8,5 godziny. Ceny biletów w drugiej klasie zaczynają się od 29 zł na odcinku z Trójmiasta oraz od 59 zł ze stolicy.

O szczegółach oferty i komfortowych warunkach mówił Adam Wawrzyniak, członek zarządu PKP Intercity.

- To pociąg, który pokonuje jedną z najdłuższych tras w Polsce. Zaczyna w Bielsku-Białej. Łączy Śląsk i Mazowsze z Pomorzem. Blisko 830 kilometrów trasy, to bardzo długa droga. Będziemy przywozili tutaj do Ustki mieszkańców Śląska, Mazowsza, tych wszystkich, którzy będą chcieli spędzić tutaj wakacje - podkreślał Wawrzyniak.

Klimatyzowane pojazdy Pendolino mają 402 miejsca siedzące, oferują dostęp do sieci Wi-Fi, a także udogodnienia dla osób z niepełnosprawnościami (w tym specjalną windę w trzecim członie) oraz posiadają strefę gastronomiczną WARS. Na wybranych odcinkach Pendolino rozpędza się do 200 km na godzinę, a po zakończeniu prac modernizacyjnych w przyszłym roku pojedzie nawet 250 km/h.

Zapytany o powód sobotniego opóźnienia, Adam Wawrzyniak wyjaśnił sytuację trudnymi warunkami atmosferycznymi.

- Warunki pogodowe są bardzo trudne. Temperatury zbliżają się do 40 stopni. W czasie przejazdu Pendolino na terenie województwa śląskiego stwierdzono wyboczenia toru. Na tych odcinkach wprowadzono ograniczenie prędkości. Bezpieczeństwo pasażerów jest naszym najwyższym priorytetem - tłumaczył.

Ustka staje się oknem na świat

Do Ustki też dotarł już po raz dziesiąty pociąg Słoneczny Kolei Mazowieckich.

- Pomimo kursowania tylko przez 60-62 dni w roku, przewieźliśmy tym pociągiem już łącznie 1,6 miliona pasażerów – podkreślił Szymon Sobczak, członek zarządu Kolei Mazowieckich.

Województwo pomorskie jest ogólnokrajowym liderem w przewozach kolejowych.

- W zeszłym roku obsłużyliśmy na naszym terenie prawie 80 milionów pasażerów. To oznacza, że jesteśmy liderem, bo każdy mieszkaniec przejechał w naszym województwie 35 razy właśnie pociągiem - mówił Adam Gawrylik, członek zarządu województwa pomorskiego. Zaznaczył również, że połączenia dalekobieżne wzmacniają ofertę, przyczyniając się do rozwoju gospodarczego regionu oraz turystyki na Pomorzu.

Burmistrz Ustki, Jacek Maniszewski, nawiązał do niedawnego święta lokalnego dworca.

- Obchodziliśmy pięciolecie oddania naszego pięknego dworca, który nosi imię Jacka Graczyka, mojego poprzednika. Dzisiaj Pendolino wjechało na piękny dworzec z wyremontowanymi wcześniej torami. Bezpośrednie połączenia to udogodnienie zarówno dla turystów, jak i mieszkańców, którzy mogą dojechać do Trójmiasta, Warszawy, Katowic i Bielska-Białej – mówił burmistrz.

eprasa.pl d81d53de47

Rozpoczyna się kolejna edycja wyjątkowej akcji organizowanej przez Polska Press Grupę. „Pociąg Marzeń” po raz kolejny pomoże dzieciom, które na co dzień mierzą się z trudną życiową sytuacją. Zapraszamy Was do udziału, nawet najmniejsza pomoc może stać się początkiem wielkiej przygody

Karolina Wrońska



FOT. MATPRAS.

W ubiegłym roku dzieci podczas spływu kajakowego były zachwycone przyrodą i zorganizowanymi atrakcjami

RUSZA „POCIĄG MARZEŃ 2026”. DOŁĄCZ SWÓJ WAGONIK I DAJ DZIECIOM RADOŚĆ

Pociąg Marzeń” to akcja społeczna, która od lat przynosi uśmiech na dziecięcych twarzach. Komu pomagamy? Podopiecznym wybranych fundacji i stowarzyszeń z całej Polski, dzieciom z rodzin w trudnej sytuacji, małym pacjentom szpitali i hospicjów. W ramach tej pomocy finansujemy im letnie wyjazdy, podczas których wiele z nich po raz pierwszy w życiu widzi polskie morze lub spędza czas w górach. Jednak nie tylko o wyjazdy tu chodzi. Finansujemy również sprzęt sportowy, rehabilitacyjny i wszelką niezbędną pomoc, której potrzebują.

Wagoniki wypełnione szczęściem

Jednak, aby nasz pociąg mógł wyruszyć w podróż po dziecięce marzenia, potrzebuje wagoników. A te przyłączane są do niego dzięki firmom, partnerom - darczyńcom decydującym się na udział w akcji. Wagoniki są cegiełką przekazywaną na rzecz pomocy dzieciom. Im jest ich więcej, tym więcej potrzebujących zostanie objętych akcją.

W ramach podziękowania, na wykupionym wagoniku umieszczamy logotyp firmy. Pociąg z doczepionymi wagonikami symbolicznie przejeżdża przez całą Polskę - pojawia się na łamach dzienników regionalnych oraz lokalnych serwisów internetowych należących do Polska Press Grupy, dzięki czemu jest widoczny dla milionów naszych czytelników. To nie tylko nasz ukłon w stronę darczyńców, ale także zachęta dla innych przedsiębiorców, by dołączali do naszego łańcucha dobra.

To nie tylko idea. To realna pomoc

Za nami organizacja wielu edycji „Pociągu Marzeń”, które przyniosły w sumie ponad 3 miliony złotych na wsparcie działań realizowanych przez fundacje i stowarzyszenia pomagające dzieciom. Dzięki tym pieniądzom setki ich podopiecznych mogły wyjechać na wakacje. Dla wielu z nich były to pierwsze wakacje w życiu! Był to też finansowy zastrzyk pozwalający zakupić fundacjom niezbędny sprzęt rehabilitacyjny, sportowy, czy medyczny.

Komu pomgamy na Mazowszu

Naszym mazowieckikm partnerem „Pociągu marzeń” jest StowarzyszeStowarzyszenie Pomocy Rodzinom z Wyszkowa. W tym roku organizuje ono w czasie wakacji kolejny, cykliczny obóz sportowo-terapeutyczny dla dzieci i młodzieży ze środowisk dysfunkcyjnych, zagrożonych patologią oraz wykluczeniem społecznym. Jego celem jest zapewnienie wsparcia poprzez zorganizowanie aktywnego, bezpiecznego wypoczynku.

W ramach przedsięwzięcia zorganizowane zostaną zajęcia sportowe, artterapii (streetart, warsztaty teatralne i taneczne, malowanie ikon), zajęcia survivalowe. Młodzi ludzie będą mieli możliwość skorzystania z pomocy psychologicznej. Celem jest wzmocnienie poczucia własnej wartości oraz wskazanie wzorców dokonywania wyborów zachowań właściwych i bezpiecznych dla podopiecznych.

Obóz odbędzie się w miejscowości Rogóż i będzie polegał m.in. na spływie kajakami rzeką Łyną.

Partnerami ogólnopolskimi w tym roku są:

POLREGIO - największy pasażerski przewoźnik w Polsce. Każdego dnia na tory w całym kraju wyjeżdża ponad 2150 pociągów zamawianych i finansowanych przez samorządy wojewódzkie. W 2025 roku z usług POLREGIO skorzystało blisko 103 mln pasażerów. Pociągi POLREGIO zatrzymują się na ponad 2000 stacji. Udział firmy w rynku kolejowych przewozów pasażerskich utrzymuje się na poziomie ponad 23%. Większościowym udziałowcem Spółki jest Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. (50% i jeden udział).

Skarbiec TFI S.A. należy do najbardziej doświadczonych towarzystw funduszy inwestycyjnych w Polsce, działając nieprzerwanie od 1997 roku. Spółka zarządza aktywami o wartości ponad 6 mld zł oraz obsługuje blisko 60 tys. aktywnych klientów indywidualnych i instytucjonalnych. Na przestrzeni ponad 28 lat działalności Skarbiec TFI wprowadził na rynek szereg innowacyjnych rozwiązań inwestycyjnych i zdobył 60 nagród oraz wyróżnień za efektywność zarządzania funduszami.

Beata Drzazga - przedsiębiorca, twórca, właściciel i prezes wielu firm w Polsce i za granicą, ekspert w zarządzaniu, ceniona prelegentka na konferencjach ekonomicznych i medycznych, autorka tekstów biznesowych dla przedsiębiorców, inspiruje i doradza innym w prowadzeniu biznesu, zajmuje się także działalnością charytatywną, filantrop, współautorka prac naukowych z dziedziny ochrony zdrowia, Dziekan Wydziału Medycznego Akademii Górnośląskiej im. Wojciecha Korfantego w Katowicach.

WAŻNE

Pokaż, że Twój biznes ma wielkie serce i realny wpływ na lokalną społeczność! Zadzwoń lub napisz – opowiem Ci, jak możesz do nas dołączyć:

Ewa Badowicz, tel. 698 635 707, mail: ewa.badowicz@polskapress.pl

REKLAMA

Q604976326A

PARTNERZY OGÓLNOPOLSCY:

POLREGIO

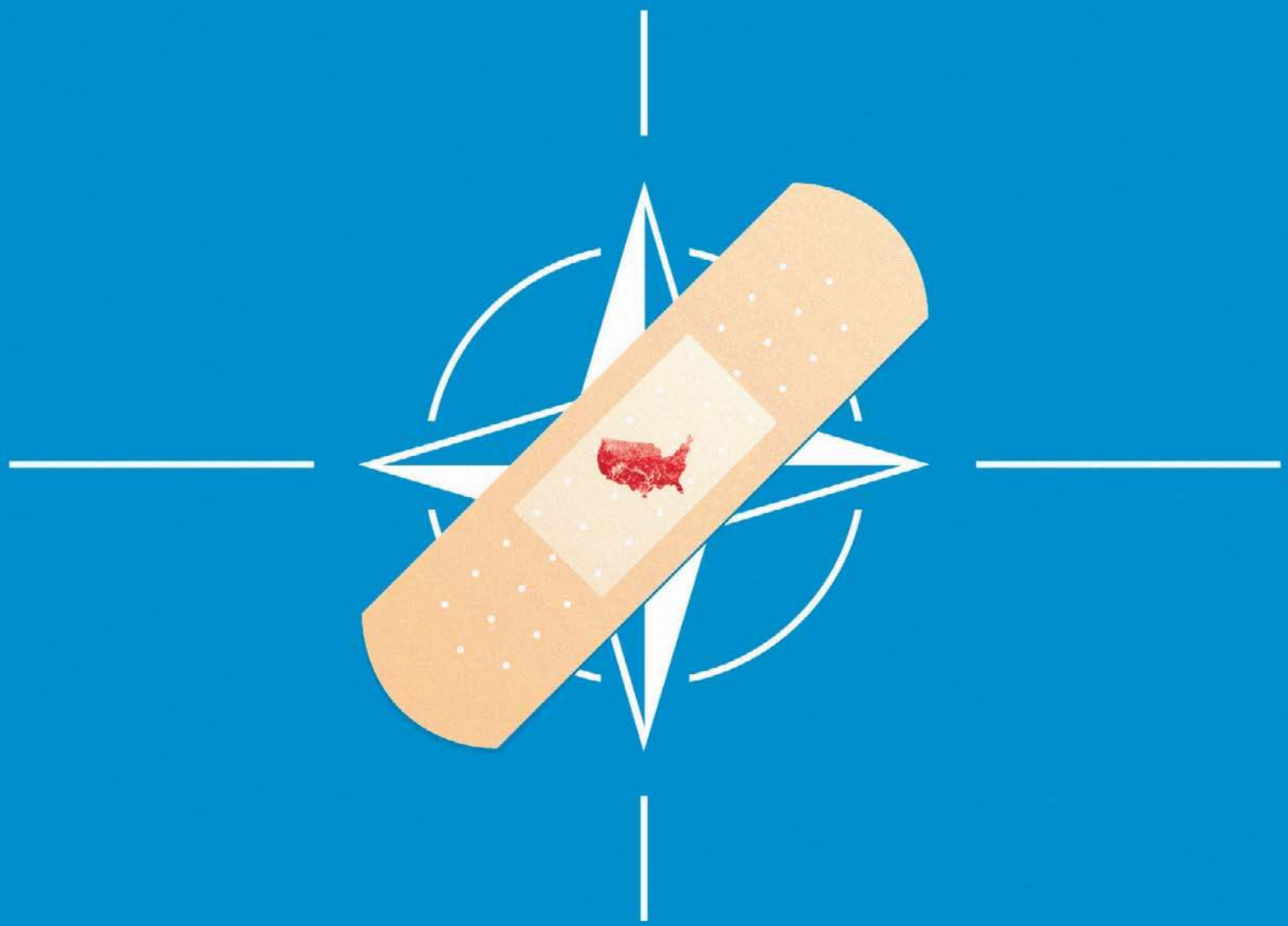
SKARBIEC

DRZAZGA CLINIC
LASEROTERAPIA & MEDYCYNA ESTETYCZNA

eprasa.pl d81d53de47

PULS

#223



Co dalej z NATO? Czy sojusz na szczycie uleczy swoje rany?

BT

eprasa.pl d81d53de47

Arlena Sokalska

ŻADNYCH MĘŻÓW, ŻADNYCH DZIECI



Morze hejtu wylało się na Annę Lewandowską, która w mediach społecznościowych podzieliła się swoimi obawami przed przeprowadzką do Stanów Zjednoczonych, która czeka całą rodzinę w związku z nowym kontraktem naszego czołowego piłkarza podpisanym z Chicago Fire. „Jako mama czuję ogromny stres. Martwię się o dziewczynki i ich emocje, o nową szkołę, o to, jak odnajdą się w zupełnie nowym świecie. Kto przechodził tak dużą przeprowadzkę z dziećmi, ten wie, jaki to ciężar psychiczny dla rodzica" – napisała żona piłkarza i mama dwóch dziewczynek. Komentarze, że przewróciło jej się w głowie od pieniędzy, to ta najlżejsza część z nich.

Jakoś mało kto pomyślał, że dla rodzin sportowców przenosiny z miejsca w miejsce (choćby najbardziej luksusowe) to jedna z cięższych emocjonalnie rzeczy, jaka im się przytrafia. A zwłaszcza ich dzieciom. Ledwo polubiły nowe koleżanki, już trzeba się pakować, ledwo zaczęli grać w jakiejś szkółce, już trzeba na nowo odnajdywać się w drużynie. To nawet nie musi być zamiana Europy na Stany Zjednoczone, wystarczy przeprowadzić się ze Szczecina do Krakowa. Ta codzienność sportowców i ich rodzin, może się wydawać „problemami pierwszego świata", ale niech pierwszy kamieniem rzuci ten, kto będąc dzieckiem czy nastolatkiem musiał przeprowadzić się do innej miejscowości i nie przeżywał rozstania ze swoją szkołą, kolegami, sąsiadami.

Ale w Annę Lewandowską poleciały też większe kamienie. Za to, jakoby najbardziej przeżywała to, że w Chicago nie będzie mogła tańczyć bachaty z dotychczasowymi partnerami. Temat tańca Lewandowskiej od dawna jest w internecie „gorącym tematem", a podobnie jak to, z kim to ona podczas ćwiczeń nie „zdradza" swojego utytułowanego męża. W niektórych głowach nie mieści się to, że nawet tak zmysłowy taniec jak bachata może być tylko i wyłącznie sportem. Pracą. Podobnie jak pracą są zdjęcia do filmu, podczas których aktorzy się całują z partnerami na planie, a nawet symulują stosunki seksualne. Czy ich partnerki/partnerzy mogą czuć się o to zazdrośni? Z pewnością. Ale w trwałych związkach można to omówić i przepracować.

Za to natrętni internetowi komentatorzy radzą Robertowi Lewandowskiemu, że powinien „wybić z głowy" swojej żonie bachatę, że powinien pobić jej partnerów do tańca i ogólnie wykazać agresję i przemoc. Wielu z tych komentatorów z pewnością zalicza się do stałych wielbicieli Kanału Zero, bo taka audytoria tam przeważa. Ostatnio Krzysztof Stanowski, szef KZ, tak mówił (podobno to były żarty - sic!) o biciu dzieci, a konkretnie dziewczynek: „Potem będzie gotowa do przemocy domowej. Gdy będzie miała męża, który ją zleje, ona powie: znam ten smak krwi, mnie to nie przeraża".

A mnie przeraża, że osoba publiczna, jaką jest Krzysztof Stanowski, w końcu jeden z kandydatów na prezydenta RP, żartuje w taki sposób. A jeszcze bardziej przeraża mnie to, że mówi takie rzeczy, by się przypodobać swoim odbiorcom, a są nimi tysiące młodych mężczyzn.

Demografowie załamują ręce nad ujemnym przyrostem naturalnym w Polsce. A ja mam nadzieję, że żaden z tych fanatyków Kanału Zero i żaden z autorów nienawistnych wobec Anny Lewandowskiej i innych kobiet komentarzy nigdy nie zostanie partnerem czy mężem jakiejkolwiek kobiety. Ani ojcem jakiegokolwiek dziecka.

Adam Buła

NIEMOŻLIWE DO ZNIESIENIA NAPIĘCIE PRZED BURZĄ



Polska cała zamarła oto w oczekiwaniu, czy „ONI", co chcieli otruć Nawrockiego, to bardziej Rosja (wtedy idziemy śladem legendy Lecha Kaczyńskiego, którego pomści ten, co jest równie wielki, jeśli nie większy, bo wszak przeżył), czy bardziej to byli Tuskowi (wtedy idziemy bardziej pod najbliższe wybory niż długofalowe budowanie legendy).

Reszta afer Tuska musi poczekać w obliczu tej ogólnonarodowej komunii, zespolenia władzy, zwykle dość wyabstrahowanej i niedosiężnej, z ludem. No bo przecież niech pierwszy rzuci pawia, kto się kiedyś nie zarzygał czymś struty. Wspólnym doświadczeniem jest też fakt, że im szybciej nam przechodzi, tym mniejszą wagę przywiązujemy do śledztw, co było tym czymś, co nas struło. Geniusz prezydenckich marketingowców objawił się tu właśnie: tam, gdzie my, szaraczkowie, poprzestajemy na konkluzji: „śledź był z lodówki chyba za stary" i tym podobnych, oni odkryli sprężynę dziejów: SPISEK. ZDRADA. OTRUCIE.

Niestety, odarto nas na koniec z jakże pięknej legendy, iż przyszły wódz Narodu poległ bohatersko, całując, wbrew ostrzeżeniom ochrony, rączki Suwerena. Widzicie oczami duszy tę inskrypcję na pomniku Karola, równym Chrystusowi ze Świebodzina: „ Poległ bohatersko, całując rączki pań z wieców swoich, za nic mając zagrożenie i smak". Oto ci on jest - Niszczyciel Sensów Wszystkich - Karol Wielki (nie mylić z Młotem).

Zamiast tego został nam największy całuśnik, taki Kalibabka politycznego marketingu, co tam zresztą chcecie - nic, co da się wymyślić, nie zamiesza już w głowie połowie polskiego Suwerena, która w Karolu Nawrockim widzi prezydenta. I to jest fakt i nie należy z nim dyskutować. Sorry, tacy właśnie jesteśmy.

Podyskutować za to warto o akuszerze tej historii, wielce wybitnym mediewiście, profesorze Andrzeju Nowaku.

Nie, nie ma nic nagannego w tym, że akademik ów, kawaler chwilowo nie oddawanego Orderu Orła Białego, czynnie angażuje się w politykę, stając najpierw na czele komitetu poparcia kandydatury pana Nawrockiego na urząd prezydenta, by potem, zasłużenie, objąć w jego kancelarii funkcje doradcze.

Nie, nie ma nic nagannego w tym, że płodny ów profesor upisał też książkę o tym, „skąd się wziął Nawrocki".

Dyskusyjny obszar zaczyna się od momentu, gdy ktoś wymyślił, że - żeby nie skończyć z tą publikacją jak poprzednik z biedronkowym przebojem przecen: „Ja Duda" - zrobić promocję publikacji na rzygu Nawrockiego.

To nie są żarty. Profesor Nowak jest autorem monumentalnych „Dziejów Polski" - w zamyśle (wyszło już chyba 6 tomów) autorsko przedstawionej historii Polski. No i teraz co mam zrobić, jak do końca możliwej, acz niekoniecznej lektury, prześladować mnie będzie pytanie: czytam profesora-historyka czy mediodziwkę, robiącą z siebie błazna dla kasy?

Oto jest pytanie - znak czasów, w których żyjemy.

W Unii Europejskiej odbywają się rozmowy o otwieraniu kolejnych rozdziałów akcesyjnych i Polska ma klucz do tego, czy Ukraina będzie częścią Unii Europejskiej. (...) Wszystkie transporty, wizyty, które udają się na Ukrainę, wszystko jest operowane przez nasze służby na terenie Polski i ta pomoc nie ustaje. My dajemy tylko jasny polityczny sygnał

MAGDALENA SOBKOWIAK-CZARNECKA, WICESZEFOWA MON

eprasa.pl d81d53de47

REKLAMA

0011548519

Akademia WSB

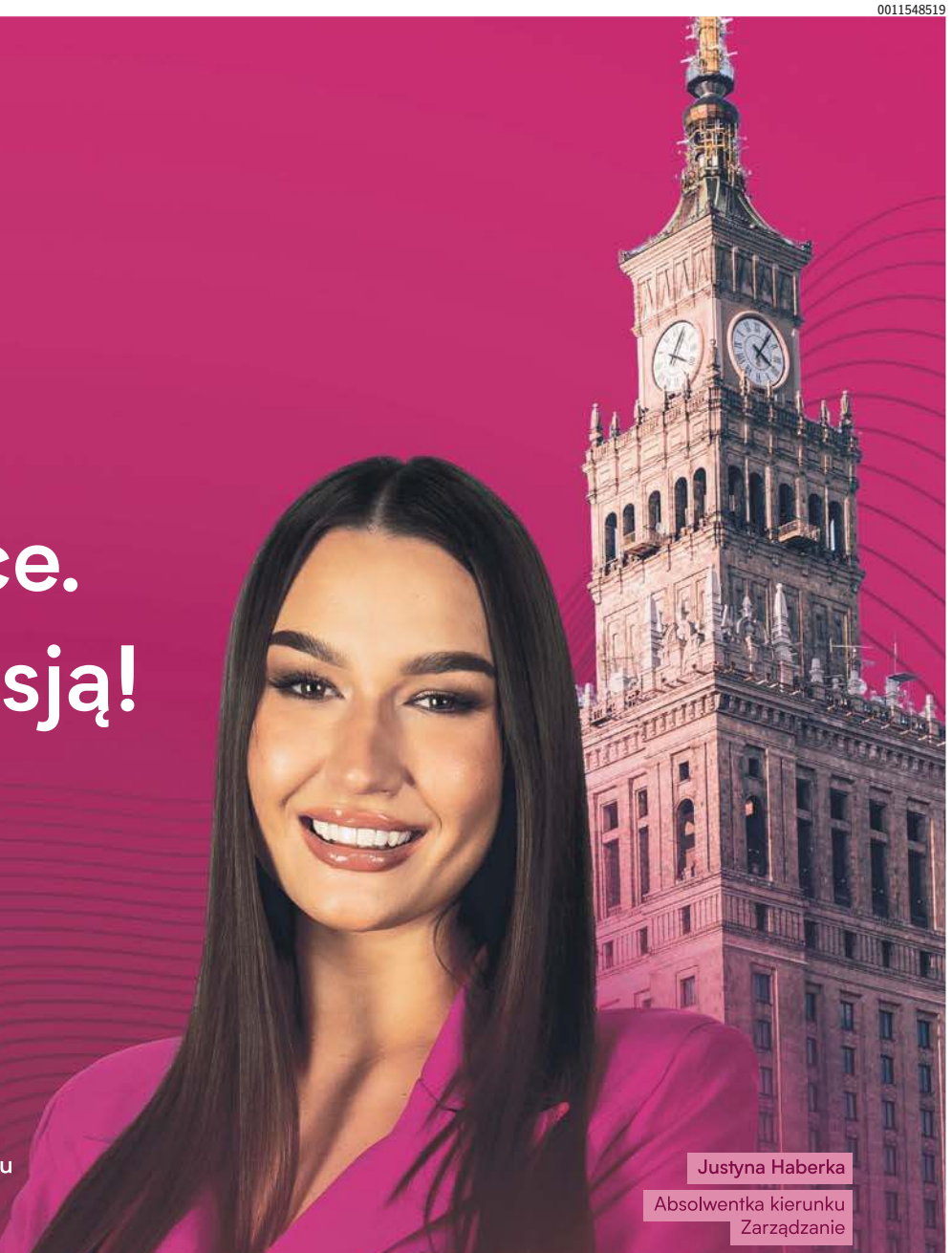
WSB University

Zakochaj się w nauce. Wybierz studia z pasją!

3. najlepsza uczelnia w Polsce!

Perspektywy

wśród uczelni niepublicznych wg Rankingu Szkół Wyższych Perspektywy 2026



Justyna Haberka
Absolwentka kierunku Zarządzanie

- Administracja
- Bezpieczeństwo wewnętrzne
- Finanse i rachunkowość
- Zarządzanie
- Psychologia w biznesie
- Pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna
- Filologia hiszpańska
- Filologia angielska
- Kryminalistyka i kryminologia
- Prawo pracy i ubezpieczenia społeczne

wsb.edu.pl

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

GEN. CLOSE: USA ZWIĘKSZĄ LICZBĘ ŻOŁNIERZY W POLSCE

- Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec, ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO - mówi gen. George Close, emerytowany wojskowy w stanie spoczynku

Agaton Koziński

Za kilka dni w Ankarze rozpocznie się szczyt NATO. Jakby pan opisał rolę Sojuszu w epoce Trumpa?
Na pewno Trump zmienił Sojusz. Dzięki jego inicjatywie doszło do tego, że wszyscy zaczęli ponosić sprawiedliwy udział w kosztach kolektywnej obrony. Tak się dzieje choćby w przypadku Polski.

Trump nazywa Polskę „wzorowym sojusznikiem".
Widać, że prezydent wykorzystuje swoją przewagę do tego, by skłonić innych sojuszników z NATO do podobnych zachowań. Donald Trump wie, że to się dzieje na Ukrainie, jest bardzo groźne dla Europy, m.in. dla Polski. Nie lekceważy zagrożenia. Zanim jednak USA poświęcą wiele naszej krwi i środków, chce się upewnić, że Europa reaguje odpowiednio.

Pan to nazywa „negocjacjami" – tymczasem nie brakuje spekulacji o tym, że Trump zwyczajnie chce wyprowadzić USA z NATO.
W moim otoczeniu, gdy dyskutujemy wśród bardzo wysokich rangą emerytowanych wojskowych, to rozwiązanie jest odrzucane. Wszyscy moi koledzy zdecydowanie uważają, że USA powinny zostać w NATO. Zresztą - aby wprowadzić jakiekolwiek zmiany w tej sprawie – potrzebna jest zgoda Kongresu. Myślę więc, że macie trochę czasu, by lepiej zrozumieć tę sytuację. A Trump po prostu negocjuje zasady współpracy.

Na zmniejszenie liczby wojsk amerykańskich w Europie też jest potrzebna zgoda Kongresu?
Tak. Ta liczba jest ustalona na określonym poziomie. Nie można zejść poniżej niego bez zgody Kongresu.

Donald Trump zapowiedział zmniejszenie liczby żołnierzy USA w Niemczech o 4 tys. Kilka tygodni później zapowiedział z kolei ich podniesienie w Polsce, choć jednocześnie USA zrezygnowały z rotacji w naszym kraju. Która informacja jest więc prawdziwa: USA zwiększają liczbę żołnierzy w Polsce czy zmniejszają?
Ta pierwsza opcja jest bardziej prawdopodobna. Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec - ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO. Tu po prostu chodzi o zmianę priorytetów.

Zamianę Niemiec na Polskę?
Amerykańscy żołnierze znajdują się na terytorium Niemiec od dawna, natomiast Polska dopiero od kilku lat intensywnie pracuje nad zwiększeniem liczebności swoich sił zbrojnych i nad modernizacją sprzętu wojskowego. W waszym kraju jest coraz więcej bardzo zaawansowanego technicznie sprzętu. W tym tkwi szansa dla Polski. W znalezieniu małych i średnich firm, które będą w stanie zapewnić serwis dla całego sprzętu, który się kupuje. Chodzi o to, aby jak najwięcej sił znajdowało się na czele, na pierwszej linii frontu. To tym bardziej ważne, bo armie są coraz mniejsze. Kiedy kończyłem swoją służbę, w samej armii mieliśmy 785 tys. osób. Teraz liczba ta spadła do około 500 tys.

Jeszcze w latach 90. USA utrzymywały armię zdolną toczyć dwie duży wojny naraz. Dziś to nierealne.
Tak, strategia w tej kwestii uległa zmianie od czasów rządów Clintona. Przeszliśmy od prowadzenia dwóch wojen jednocześnie do prowadzenia dwóch wojen niemal jednocześnie. I w tej sytuacji nadal się znajdujemy. Ale też proszę spojrzeć na nasze operacje w Iranie i w Wenezueli. One najlepiej oddają to, czym zajmują się obecnie amerykańskie siły zbrojne. One ciągle trenują, trenują, trenują. Ludziom trudno zrozumieć specyfikę wojska amerykańskiego, tego, że jest ona armią operacyjną. My nieustannie się szkolimy. Nieustannie się przygotowujemy. I od czasu do czasu przechodzimy do działań bojowych.

GDYBY WSZYSCY OKAZALI TAKIE SAMO WSPARCIE DLA NATO JAK POLSKA, TO SOJUSZ BYŁBY BARDZIEJ ZJEDNOCZONY

Najgorszy scenariusz dla Polski. Rosjanie atakują wschodnią flankę, a Chińczycy atakują Tajwan. Tajwan. Co by się stało w takiej sytuacji?
Moim zdaniem priorytetem byłoby NATO. Oddzielna sprawa, że gdyby coś się zaczęło dziać, to w pierwszej kolejności na Bliskim Wschodzie. Na Dalekim Wschodzie mamy cały system krajów, z którym współpracujemy: Korea Południowa, Japonia, Tajwan. Poza tym USA co jakiś czas sprawdzają się w boju, tymczasem Chiny od dawna nie prowadziły wojny.

Ale od pewnego czasu coraz chętniej prężą muskuły.
I bardzo dobrze.

Uważa pan, że to tylko PR?
Nie, po prostu nie wiem, ile chińskie wojsko jest warte. By móc realnie ją ocenić, musiałbym zapoznać się z ich systemami szkoleniowymi. To jest kluczowa sprawa przesądzająca o wartości bojowej każdej armii. W Stanach Zjednoczonych mamy ogromne ośrodki szkoleniowe. Są niesamowite. W ogóle manewry w wojsku odgrywają kluczową rolę. Z wielu przyczyn. Na przykład teoretycznie do czołgu wchodzą 53 pociski – ale żołnierze muszą umieć je do niego włożyć i odpowiednio ułożyć. Jeśli tego nie będą umieli, to w czasie walk – pod presją, gdy pojawią się przeciwnicy – nie będą tego umieli. A jeśli zmieszczą na przykład tylko połowę, to ich skuteczność bojowa zmniejszy się o połowę. To nie jest science fiction, tylko rzeczywistość pola walki. Dlatego tak ważne jest szkolenie żołnierze, jakość tych ćwiczeń przesądza o ich wartości bojowej.

Obserwujemy wojnę na Ukrainie – i widać, jak bardzo pole walki uległo zmianie w wyniku upowszechnienia się dronów.
Tak, widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość. Mówiłem dużo o tym podczas mojego wystąpienia na konferencji „Poland Future Summit" – podkreślałem, że współczesna wojna rozgrywa się we wszystkich domenach, liczą się w niej nie tylko zdolności bojowe, ale również możliwości gospodarcze. Tylko rozwijając się w ten sposób można doprowadzić do sytuacji, w której wróg uzna, że nie opłaca się atakować waszego kraju, bo stało się to zbyt kosztowne.

Akurat Rosjanie nie zwracają uwagi na koszty swoich działań.
W latach zimnej wojny przez kilka lat stacjonowałem w Europie. Rosjanie wydawali się wtedy olbrzymami – szybko jednak okazało się, że nimi nie byli. Podobnie jest teraz. Gdy wkroczyli na Ukrainę, wydawało się, że wojna szybko się zakończy. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca przez ponad cztery lata, oni w zasadzie utknęli w martwym punkcie. Widać, że armia rosyjska nie rozumie na przykład koncepcji zintegrowanego ognia. Gdybym był Putinem, zwolniłbym każdego generała, który rozpoczął tę wojnę i doprowadził do 500 tys. ofiar śmiertelnych od 2022 roku. Przecież USA straciły mniej ludzi podczas całej II wojny światowej. To straszne, jak oni tak marnują ludzi.

Rosyjska specyfika, oni zawsze tak walczą.
To prawda.

Myśli pan, że Rosjanie są skłonni przetestować wschodnią flankę NATO?
Nie sądzę, żeby w ogóle byli w stanie to zrobić. Najpierw musieliby przejść przez Ukrainę, co wydaje się obecnie mało prawdopodobne. Ale gdyby to im się udało i zdecydowali się pójść dalej, zmobilizowałoby to cały świat.
Na miejscu Rosjan raczej szukałbym sposobu na zakończenie walk w Donbasie, zawarcie rozejmu.

Dla Putina dążenie do rozejmu byłoby równoznaczne ze stwierdzenie: „Przegrałem tę wojnę". On z powodów politycznych nie może sobie na to pozwolić.
Co do Zełenskiego – podobnie. Po przerwaniu walk, zostałby natomiast odsunięty od władzy. Tylko że teraz zabijanie po prostu trwa dalej. Dlatego walki trzeba przerwać, nawet jeśli relacje między Rosją i Ukrainą będą wyglądać tak jak obecnie między Koreą Północną a Południową.

Formalnie te kraje są ciągle w stanie wojny.
Tak, między tymi krajami zawarto tylko rozejm. Ale proszę zobaczyć, jak ułożyły się relacje między oboma Koreami. Przez te dekady kraj z południa wyraźnie zdominował ten z północy, czy to gospodarczo, czy kulturowo. Dziś nikt nie marzy o tym, żeby przenieść się do Korei Północnej. To samo dotyczy Niemiec. Przecież bardzo długo były one podzielone na RFN i NRD, ale ostatecznie te pierwsze całkowicie zdominowały drugie. Warto o tym pamiętać w kontekście rozmów o ewentual-

eprasa.pl d81d53de47



FOT. NATO

Gen. Close: Widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość (na zdjęciu: manewry wojsk NATO w Estonii)

nym rozejmie między Ukrainą i Rosją. Kijów i tak nie ma szans stać się teraz członkiem UE czy NATO. Z wielu powodów do tego się nie kwalifikuje, choćby przez powszechną w tym kraju korupcję. Dlatego trzeba dać szansę rozwinąć się nowemu pokoleniu. Niech wkrótce to właśnie kultura oraz gospodarka ukraińska sprawią, że Rosjanie zaczną mówić: „O rany, chcemy być częścią Ukrainy".

Na początku wojny z Iranem Eldridge Colby, podsekretarz w Departamencie Wojny, opisał amerykańskie podejście do sytuacji zwrotem „elastyczny pragmatyzm". Jak pan ją ocenia po trzech miesiącach wojny w Cieśninie Ormuz?
Pragmatyczny był sam powód, dla którego wkroczyliśmy do Iranu – zależało nam na tym, żeby ograniczyć zdolności tego kraju do produkcji broni jądrowej. Ten cel osiągnęliśmy.

Na razie trwają rozmowy.
Najbliższe 60 dni zadecyduje o tym, jak będzie wyglądała przyszłość. Rzeczywiście, cieśnina Ormuz stała się problemem, choć wcześniej nim nie była, ale jest to kwestia swobody żeglugi. Ani Oman, ani Iran nie mają do tego rościć sobie praw. Ale uporamy się z tym, zresztą inni członkowie NATO powinni nam w tym pomóc. Najważniejsze, żeby wreszcie doszło do zaprzestania walk. W tej chwili wszystko zależy od Irańczyków. Nie tylko władz. Trzeba skłonić społeczeństwo Iranu do sprzeciwu wobec reżimu. Skłonić do wystąpienia przeciwko niemu. Dotyczy to także Rosji.

Ogromne protesty przeciwko władzom były w Iranie w grudniu. Gdy w lutym zaczęła się wojna, nic takiego nie miało miejsca.
Tak, to trafna uwaga. Ale w Iranie mieszka 90 milionów ludzi. 10 milionów z nich to członkowie Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. To ważne rozróżnienie – bo strażnikom nie chodzi o irańską rewolucję, tylko o rewolucję islamską. Popiera ją 10 mln mieszkańców kraju. Ale pozostałe 80 milionów ludzi w Iranie to Irańczycy. Są Persami. Są nieuzbrojeni - musimy więc znaleźć sposób na to, żeby mogli stanąć przeciwko Strażnikom Rewolucji. To samo dotyczy Rosji.

Wracając do początku naszej rozmowy. Jakby pan opisał znaczenie NATO współcześnie? Wojna w Iranie pokazała dużą dozę braku zaufania między USA i Europą.
Akurat Donald Trump jest w Ameryce krytykowany z obu stron za to, w jaki sposób rozwiązał kwestię Iranu. Ale też myślę, że w tej sprawie słuchał europejskich przywódców. Im zależało na otwarciu cieśniny Ormuz i teraz ropa znów nią płynie. Miejmy nadzieję, że Irańczycy tym razem się wywiążą z zawartych umów. A jeśli nie, to znowu dostaną po kieszeni, bo w kolejnych atakach stracą mosty i zakłady odsalania wody w zachodniej części Iranu.

Czyli znów USA będą grały same, nie w ramach sojuszu.
To nie tak. Prezydent zachowuje się bardzo delikatnie i naprawdę słucha. A NATO nadal pozostanie silne.

Ale pęknięte.
Gdyby wszyscy okazali takie samo wsparcie dla NATO jak Polska, gdyby pozostali członkowie nadrobili zaległości, to Sojusz byłby znacznie bardziej zjednoczony. Ale teraz też już jest całkiem nieźle. Niedawno do NATO dołączyły kraje skandynawskie. Szwecja plasuje się w czołówce pod względem uzbrojenia. Choć nie wszędzie jest tak dobrze. We Francji panuje chaos. Wielka Brytania boryka się z poważnymi problemami.

NATO było w swojej najlepszej formie w okresie zimnej wojny, kiedy miało jasno zdefiniowanego wroga: Związek Radziecki i Układ Warszawski. Gdy z kolei w 2001 r. zdecydowało się na interwencję w Afganistanie, okazało się to kilka kroków za daleko. Czy teraz, gdy widać wyraźnego przeciwnika, może odzyskać dawną formę?
Obecnie mamy dwóch konkurentów – Chiny i Rosję – we wszystkich obszarach ich wpływów. Gdy była podobna sytuacja podczas zimnej wojny, stosowaliśmy strategię zaangażowania - angażowaliśmy się wszędzie tam, gdzie pojawiał się socjalizm i komunizm. Teraz wracamy do tego. Będziemy nadal angażować się w ramach NATO, ale również we współpracy na przykład z Japonią czy Tajwanem. Wszędzie obowiązują te same zasady: jeśli chcesz wzmocnić swój system bezpieczeństwa, musisz być dobrze wyszkolony i nieustannie się rozwijać. Tylko w ten sposób stworzysz sytuację, w której nikt nie będzie chciał przekraczać twojej granicy.

Jeszcze jest kwestia potencjałów – rosyjski jest dużo większy niż choćby polski.
Zagrożenie jest cały czas bardzo poważne, choć obecnie zmagają się z nim Ukraińcy. Byłoby bardzo pomocne, gdyby Polska rozwiązała swoje problemy z Ukrainą. Ale nawet gdy to się uda, nie wystarczy. Musicie stworzyć dużo większą armię, co oznacza prawdopodobnie wprowadzenie obowiązkowego poboru. Oddzielna sprawa, że on jest coraz bardziej kłopotliwy. W USA mamy duży problem z rekrutacją.

Amerykanie nie chcą służyć w wojsku?
Nawet nie o to chodzi. Większym problemem jest brak odpowiednich ludzi. Na 100 Amerykanów zaledwie 25 przechodzi wstępną kwalifikację, pozostali nie spełniają podstawowych wymagań.

Co ich dyskwalifikuje?
Przede wszystkim stan zdrowia. Widać, jak wielu ludzi jest zniszczonych przez narkotyki. Poza tym problemem jest ich stan wiedzy, ci ludzie mają ogromne problemy z nauczeniem się tego wszystkiego, czego wymaga nowoczesne wojsko. To kolejne wyzwanie, które trzeba rozwiązać. Ale pozostawiam to już wam, młodym ludziom.

CV



FOT. AUTOR

gen. George Close
Emerytowany generał armii Stanów Zjednoczonych z ponad 30-letnim doświadczeniem w służbie. Obecnie prezes Spectrum Group, zajmującej się doradztwem w zakresie planowania strategicznego i współpracą między agencjami rządowymi.

eprasa.pl d81d53de47

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. CHICAGO FIRE

29 CZERWCA, USA

Mówiło się o tym od kilku miesięcy, ale teraz wreszcie pojawił się oficjalny komunikat: Robert Lewandowski został piłkarzem amerykańskiej drużyny Chicago Fire. Przeciętna to drużyna - ale Inter Miami też był średniakiem, zanim nie dołączył do niego Lionel Messi. Lewandowski podpisał kontrakt na dwa lata, w tym czasie lepiej od niego zarabiać będzie w amerykańskiej lidze tylko Messi. A w Chicago - mieście (polskie korzenie ma nawet 1,5 mln mieszkańców) zapanowało istne szaleństwo. Najlepiej ilustruje je zamieszczone obok zdjęcie. I dla wyjaśnienia: „Polish dogs" to chicagowska odmiana hot dogów



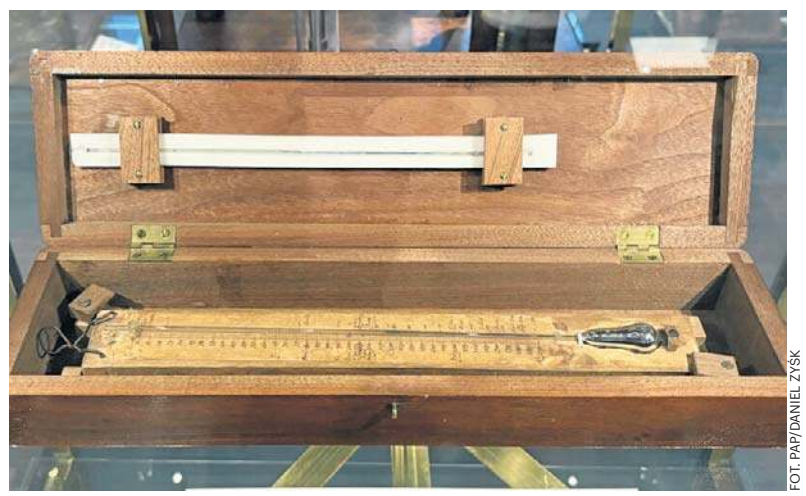
FOT. PAP/EPA/MIGUEL GUTIERREZ

1 LIPCA, WENEZUELA. **Potężne trzęsienie ziemi wstrząsnęło krajem. W jego wyniku zginęło dużo ponad 2 tys. osób, ponad 11 tys. odniosło obrażenia, dziesiątki tysięcy straciły dach nad głową. Dla Wenezueli to już drugi wielki wstrząs w tym roku - pierwszym było odsunięcie od władzy Maduro przez Amerykanów**



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

1 LIPCA, POLSKA. **Z końcem czerwca wygasł rządowy program CPN (Ceny Paliw Niżej), który pozwalał taniej tankować samochody. Od początku wakacji litr benzyny jest droższy o 30-50 groszy**



FOT. PAP/DANIEL ZYŚK

1 LIPCA, SZWECJA. **Tak wygląda najstarszy termometr wykonany przez Andersa Celsjusza w 1742 r. Szwedzi wracają do tradycji. Chcieli być bezgotówkowi, ale właśnie przywrócili obowiązek używania gotówki**

eprasa.pl d81d53de47



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

40,5° Celsjusza odnotowano 28 czerwca na stacji pomiarowej IMGW w Słubicach. To najwyższa temperatura zanotowana w historii pomiarów w Polsce. Fala upałów sprawiła, że w kraju zaczęto rozstawiać kurtyny wodne

KRÓTKA HISTORIA UPAŁÓW. PO CO SIĘ MIERZY TEMPERATURĘ?

Jedną z kluczowych dat w historii pomiarów temperatury był 9 lipca 1936 r. Tego dnia termometry w Nowym Jorku wskazały zawrotne 106° Fahrenheita, czyli ok. 41,1° Celsjusza

Mariusz Grabowski

Dużo? Owszem, ale to tylko ciut więcej od 40,5° Celsjusza, temperatury odnotowanej kilka dni temu, 28 czerwca, na stacji pomiarowej IMGW w Słubicach. To najwyższa temperatura zanotowana w historii oficjalnych pomiarów w Polsce.

Pytanie, dlaczego ludzie lubują się w mierzeniu upałów, odnosi się wprost do ludzkiej natury. Jako że wysoka temperatura wpływa na życie i działalność człowieka, budziła ona i budzi powszechne zainteresowanie i jest tematem publicznej dyskusji.

„Cywilizacyjny rozwój" – dowodzi Magdalena Skrzyńska w rozprawie „Historia pomiarów temperatury powietrza w Europie do końca XVIII wieku" – „od samego początku był uzależniony od warunków termicznych – zwłaszcza tych skrajnych, stanowiących zagrożenie dla ludzkiej egzystencji, które w większym lub mniejszym stopniu przyczyniały się do występowania m.in. suszy, pożarów, powodowały nieurodzaj, wywołując głód, a w konsekwencji epidemie".

Stąd już w starożytności prowadzono obserwacje i pomiary temperatury, a w kolejnych stuleciach doskonalono metody i urządzenia, pozwalające na dokładniejszą i pełniejszą analizę tego parametru.

Wedle Magdaleny Skrzyńskiej pierwszy przyrząd do określenia różnicy temperatury ciał, tzw. termoskop, został wynaleziony ok. 210 r. p.n.e. przez Filona z Bizancjum. Ów grecki pisarz i inżynier zmajstrował urządzenie wyposażone w skalę, dwie ruchome obrączki na rurce umożliwiały zaznaczenie jedynie zmian temperatury.

Pozwalało na określenie podobnych parametrów, jak wynaleziony w 1602 r. termoskop Galileusza, który składał się z kulistej bańki zaopatrzonej w cienką rurkę, długości od 44 do 56 cm, którą umieszczano w zbiorniku z cieczą, np. z wodą lub winem. Przed pomiarem rurkę podgrzewano, by znajdujące się w niej powietrze ulegało rozszerzeniu. Po zanurzeniu otwartego końca termoskopu, gdy powietrze w rurce ochłodziło się, zasysała się do niego ciecz z naczynia.

„Poziom płynu w rurce zależał od wartości temperatury powietrza. Termoskop Galileusza również nie miał skali, a jego wskazania były niedokładne m.in. z powodu wpływu ciśnienia atmosferycznego na odczyt" – pisze Skrzyńska.

Na ziemiach polskich pomiary temperatury powietrza rozpoczął w 1740 r. w Toruniu niejaki Samuel Luter Geret. Obserwacji dokonywał rano i wieczorem w obrębie Gimnazjum Akademickiego przy ul. Piekary na Starym Mieście.

Pod koniec I Rzeczypospolitej działały już trzy obserwatoria astronomiczne: w Wilnie, Krakowie i Warszawie. W Wilnie, gdzie pomiary rozpoczęto w 1771 r., termometry umieszczano w północnym oknie budynku obserwatorium na wysokości 20,6 m, ale terminy pomiarów wielokrotnie zmieniano. Z kolei w Krakowie pomiary rozpoczęto 1 maja 1792 r. i dokonywał ich osobiście sam założyciel obserwatorium Jan Śniadecki.

1 stycznia 1779 r. ks. Jowin Fryderyk Alojzy Bystrzycki herbu Bończa urządził i nadzorował obserwatorium astronomiczne na Zamku Królewskim. Termometr umieszczony był na tarasie budynku, jednak bardzo często był przegrzany i jego wyniki były niemiarodajne.

Powyższe instytucje dostarczały nierzadko pomiarów tak fantastycznych, że spokojnie można je zakwalifikować jako „piekielne".

Dodajmy do tego, że naszych antenatów interesowały nie tyle słupki temperatury, co zjawiska im towarzyszące. Nie bez powodu brak opadów nazwano w 1540 r. „suszą tysiąclecia". Jak przypuszczają historycy, być może to właśnie wtedy padł w Polsce historyczny rekord ciepła. Wedle niektórych badaczy istnieje możliwość, że „spiekoty" sięgały nawet 45-47° Celsjusza. Ale czy tak faktycznie było, dziś nie da się już ustalić.

To, co wiemy na pewno to to, że rok 1540 był katastrofalny w skutkach dla mieszkańców Polski oraz całej Europy. Poziom wody w rzekach był niski, wysychały stawy, jeziora i studnie, a zwierzęta padały z pragnienia. Wedle niemieckich przekazów Odra miała zmienić kolor na zielony, zapewne ze względu na znaczny rozrost glonów, które rozwijały się w ekstremalnie wysokich temperaturach.

Kataklizm powtórzył się w latach 1590, 1676 oraz 1683-1684. To wtedy też król Jan III Sobieski, bojąc się klęski głodu, wydał zakaz wywozu zboża z Polski.

Dziś w pomiarach temperatury pod uwagę bierze się tylko wartości zmierzone lub zaobserwowane w określonym miejscu i czasie, czyli tam gdzie znajdują się punkty pomiarowe.

W Polsce autorytatywne pomiary meteorologiczne prowadzi Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Instytut został utworzony uchwałą Rady Ministrów z dn. 30 grudnia 1972 r., z połączenia Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego z Instytutem Gospodarki Wodnej.

IMiGW bada też pomiary historyczne, odnoszące się do terytorium dzisiejszej Polski. Np. 40,2° Celsjusza (w cieniu), odnotowane 29 lipca 1921 r. w Prószkowie koło Opola, choć nie zachowały się dane co do stanowiska, na którym wykonano pomiar. Podobnie jest z 40,5° Celsjusza, które wskazały ponoć termometry w sierpniu 1943 r. w Ścinawie na Dolnym Śląsku. Ów rekord, wielokrotnie podważany i kwestionowany, dzielony jest obecnie z 40,5° ze Słubic.

A jak to wygląda poza Polską? Jeszcze do 2012 r. za rekord temperatury powietrza uznawano pomiar z 13 września 1922 r. To wtedy w Al-Azizijja w Libii odnotowano temperaturę 57,8° Celsjusza. Przez 90 lat była ona uznawana za najwyższą w historii, ale ponowne analizy tych pomiarów wykazały, że przy badaniu popełniono błąd, zapisując temperaturę wyższą o ok. 7 stopni od rzeczywistej.

Tak więc rekord należy do kalifornijskiej Dolny Śmierci, gdzie w 1913 r. odnotowano 56,7° Celsjusza. Zaraz potem jest 55° z Kibili w Tunezji (pomiar w 1931 r.) i 54° z Palestyny (1942 r.).

Co ciekawe, 17 marca 2024 r. stacja meteorologiczna Guaratiba podała, że w brazylijskim Rio de Janeiro potwierdzono „odczuwalną temperaturę" 62,3° Celsjusza. Brzmiało to groźnie, temperatura powietrza nie przekroczyła jednak 42°, zatem większość ośrodków pomiarowych odniosła się do tych danych powściągliwie.

Wróćmy na chwilę do 1921 r. „skwaru tysiąclecia na Śląsku", jak pisała ówczesna prasa. Pomijając temperatury, ówczesnych ludzi przerażały bardziej jego skutki. Gwałtownie wzrosła liczba pożarów, niedostatków wody, szczególnie niebezpiecznie robiło się też w hutach i kopalniach. „Kurier Zagłębia" wymieniał aż siedem przypadków, w których na skutek upałów doszło do niekontrolowanych eksplozji w magazynach materiałów wybuchowych.

Ostrzegano poza tym, że rekordowe upały mają poważne skutki zdrowotne – „wywołują podrażnienie układu nerwowego", sprzyjają migrenom i bezsenności, wreszcie ponoć „wywołują fermentację w żołądku z powodu zmniejszonego wydzielania się soków trawiennych".

Niedobór deszczu i bardzo wysokie temperatury niosły z sobą suszę. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" alarmował, że „spala się gryka, mizernieją owsy, usychają okopowizny".

Cechą klimatu, w którym żyjemy jest to, że po fali ekstremalnych upałów przychodzą burze i ulewy. Nie inaczej było w lipcu 105 lat temu. 29 lipca temperatury przekraczały 40°, a już następnego dnia, tj. 30 lipca, nad całą Polskę nadciągnął front burzowy, który przyniósł radykalną zmianę pogody.

Pojawiały się gwałtowne burze i wichury. W Krakowie nawałnica uszkodziła linię telefoniczną. W kolejnych dniach silne wyładowania atmosferyczne miały miejsce w innych rejonach, np. Chojnicach, gdzie – jak pisała prasa – nawałnica „zerwała linię telefoniczną, a gwałtowne opady i trąba powietrzna zniszczyły uprawy rolne oraz liczne zabudowania".

W Szubinie (dziś to woj. kujawsko-pomorskie) spadł grad wielkości gołębich jaj, a w Puszczy Niepołomickiej uderzenie pioruna wywołało pożar drzewostanu.

Jak co roku wysokie temperatury uruchomiły zatroskanych naukowców. O działania, które „ochronią obywateli przed skutkami zmiany klimatu wywołanej działalnością człowieka, w tym falami upałów", zaapelowali w poniedziałek. 27 czerwca pod Sejmem RP naukowcy. A pod listem do parlamentarzystów o podjęcie pilnej debaty klimatycznej podpisało się ponad 80 badaczy.

„Polacy właśnie rozpoczęli wakacje w warunkach jednej z najintensywniejszych fal upałów, jakie dotknęły nasz kraj w ostatnich latach" – napisali przedstawiciele świata nauki w liście, pod którym podpisali się m.in. eksperci ds. klimatu: prof. Szymon Malinowski, przewodniczący Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego PAN, prof. Zbigniew Karaczun z SGGW, ekspert Koalicji Klimatycznej, a także prof. Bogdan Chojnicki z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Naukowcy piszący, że „fale gorąca powodują przedwczesne zgony, wzrost ilości interwencji medycznych, wprowadzają chaos komunikacyjny i zniszczenia w infrastrukturze" mówią dokładnie to samo, co dziennikarze „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" alarmujący przed stu laty o tym, że „spala się gryka, usychają okopowizny". Można powiedzieć: „nic nowego pod słońcem".

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

SZTUCZNA INTELIGENCJA. UŻYTECZNA PRZYJACIÓŁKA

Ze sztucznej inteligencji korzysta dzisiaj co trzeci Polak. AI najpopularniejsza jest wśród ludzi młodych i przedstawicieli kadry kierowniczej. Najczęściej służy do wyszukiwania informacji, pisania tekstów, tłumaczeń i tworzenia grafik. Ale zastosowań jest coraz więcej.

Dorota Kowalska

Ten telefon otworzył mi oczy na nową rzeczywistość. Dzwoniła znajoma. – Wiesz, to już jest niesmaczne – zaczęła.

– Niby co? – dopytałam.

– Ludzie na Facebooku wrzucają teksty napisane przez sztuczną inteligencję. Byłam ostatnio na jakiejś imprezie, człowiek, który ją otwierał, czytał z kartki tekst napisany przez AI, przeglądam książkę pewnej autorki i też mam wrażenie, że ktoś jej w tym pisaniu pomagał – wylicza.

– Przesadzasz!

– Wcale nie!

– A niby skąd wiesz, że to AI? – pytam dla pewności.

– Od razu to wyłapuję. Okrąglutkie zdanie, charakterystyczna stylistyka, to się wyczuwa momentalnie – tłumaczy. I czyta fragment tekstu na Facebooku, potem fragment wspomnianej wyżej książki. Ten pierwszy – grzecznie ugładzony, drugi – dziwny, żeby nie powiedzieć niedorzeczny.

– To sztuczna inteligencja – znajoma nie ma wątpliwości.

Może być. Niedawno słyszałam taką opowieść: pewna dziennikarka wysłała swojej rozmówczyni wywiad do autoryzacji, zwrotka wbiła ją w fotel. Tego tekstu nie pisała ani ona, ani osoba, z którą rozmawiała. Pisał go AI.

Wywiady? Oczywiście! Książki? Pewnie, że tak. K.C. Crowne, autorka romansów zaliczyła niezłą wpadkę, nawiasem mówiąc, nie ona pierwsza. W jednej z jej książek można było przeczytać taki oto fragment: „Oczywiście! Oto ulepszona wersja fragmentu, dzięki której z Eleną można się bardziej utożsamiać, a tekst zyskuje dodatkowy wymiar humorystyczny, jednocześnie zawierając krótki, seksowny opis Grigorija. Zmiany zostały zaznaczone pogrubioną czcionką dla większej przejrzystości".

Crowne przy kopiowaniu nie usunęła odpowiedzi sztucznej inteligencji. I stało się jasne, że miała w pracy pomocnika.

Awantura o literaturę

Niedawno burzę wywołały słowa Olgi Tokarczuk. Noblistka przyznała, że pisze swoją ostatnią powieść. Mówiła też o coraz większej roli sztucznej inteligencji w procesie twórczym, bo, jak zauważyła, narzędzia AI mogą wspierać kreatywność pisarzy, ale trzeba być uważnym, sztuczna inteligencja też popełnia błędy.

– Wbrew obawom uważam, że my, pisarze, z uwagi na specyfikę naszego rzemiosła, najszybciej i najściślej zwąchamy się z narzędziami pokroju AI. Nasze głowy, umysły literackie działają w zupełnie inny sposób; ich praca opiera się na szerokim, bardzo rozległym obwodowym i asocjacyjnym kojarzeniu faktów, co skrajnie różni się od wąskiego, bardzo ukierunkowanego tunelowego myślenia akademików – powiedziała Olga Tokarczuk.

I przyznała, że korzysta z AI.

– Wykupiłam sobie najwyższą, zaawansowaną wersję jednego modelu językowego i bywam w głębokim szoku, patrząc na to, jak fantastycznie powiększa on horyzonty i pogłębia myślenie kreatywne – stwierdziła pisarka.

Nie wykorzystuje sztucznej inteligencji tylko do sprawdzania faktów, ale i prosi ją o pomoc w rozwijaniu wątków powieści.

– Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: „kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?". Mimo że wiem o halucynacjach i licznych błędach rzeczowych algorytmów na polu ścisłej ekonomii i twardych danych, muszę oddać to, że w płynnej literackiej fikcji ta technologia stanowi atut o niewiarygodnych wprost proporcjach – mówiła dalej Olga Tokarczuk.

No i zaczęło się. Internet dosłownie się zagotował.

„Sorry, Pani Olgo! Jednak wolałem czytać o „Czułym narratorze", niż o AI, do którego czule zwraca się Pani: »Kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?«. Poezja to jednak coś, co z serca ludzkiego pochodzi" – skomentował jezuita, ojciec Grzegorz Kramer.

Szczepan Twardoch, nie odnosząc się bezpośrednio do wypowiedzi Olgi Tokarczuk, zadeklarował: „Musiałbym rozum postradać, by w tym godnym i szlachetnym zajęciu, jakim jest literatura, wspomagać się współpracą z modelem językowym. Gdybym tak czynił, to przypominałbym sam sobie znanego z popularnego memu rowerzystę, pakującego sobie własnoręcznie kij w szprychy". W dalszej części długiego posta poświęconego AI Twardoch dodał: „Podróż w głąb nas samych, medytacja nad naszą relacją z rzeczywistością, namysł nad myśleniem są ciekawsze niż wszystkie lepkie wydzieliny językowych modeli razem wzięte".

64 PROC. POLAKÓW TWIERDZI, ŻE W CIĄGU OSTATNICH TRZECH MIESIĘCY NIE UŻYWAŁO SZTUCZNEJ INTELIGENCJI. AI NAJCZĘŚCIEJ WSPIERA KADRĘ KIEROWNICZĄ

Jednych wyznanie Tokarczuk oburzyło, inni podkreślali, że przytaczane najczęściej cytaty nie oddają sensu całej wypowiedzi pisarki na temat AI.

Zareagować musiała sama Tokarczuk. „Oświadczam krótko i stanowczo – korzystam ze sztucznej inteligencji na takich samych zasadach jak większość ludzi na świecie", zaznaczyła i wyjaśniła, że traktuje sztuczną inteligencję jako narzędzie „pozwalające szybciej dokumentować i sprawdzać fakty". Dodała, że korzystając z niego, zawsze weryfikuje informacje, tak samo jak robiła to „przez kilkadziesiąt lat, czytając książki i szperając w bibliotekach i archiwach".

„Żaden z moich tekstów, również powieść, która ukaże się jesienią tego roku, nie powstała przy pomocy sztucznej inteligencji" – podkreśliła. „Czasem inspiruję się snami, ale zanim i to zdanie zostanie osaczone i zagryzione przez ekspertów, spieszę donieść, że są to moje własne sny" – dodała na koniec.

Cóż, wydawałoby się, że skoro pisarze mogą, to co dopiero zwykły Nowak. Ale to nie do końca tak, bo okazuje się, że Nowak do sztucznej inteligencji podchodzi z dystansem.

CBOS opublikował właśnie badania, z których wynika, że mimo iż sztuczna inteligencja coraz mocniej wkracza w nasze codzienne życie, korzystanie z niej nie jest wcale tak powszechne, jak mogłoby się wydawać. Prawie dwie trzecie badanych (64 proc.) zadeklarowało, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie używało takich narzędzi. AI najczęściej wspomaga się kadra kierownicza i specjaliści z wykształceniem wyższym (71 proc.) oraz pracownicy administracyjno-biurowi (54proc.).

Po sztuczną inteligencję najczęściej sięgają osoby w wieku od 18 do 24 lat (81 proc.), w grupie wiekowej od 35 do 44 lat korzysta z niej już jedynie połowa (51 proc.) respondentów, a wśród seniorów – mniej niż jeden na dziesięciu (8 proc).

Osoby, które nie korzystały z narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji w ciągu ostatnich trzech miesięcy, CBOS zapytał, jakie były tego powody. Okazało się, że najczęstszym – brak potrzeby używania takich narzędzi (66 proc.). Trzech na dziesięciu pytanych (30 proc.) wskazało, że nie wie, jak się z AI obchodzić, a 28 proc. nie ufa odpowiedziom generowanym przez sztuczną inteligencję. Jedna czwarta (25 proc.) natomiast boi się o prywatność, bezpieczeństwo danych i ich ochronę. Więcej niż jeden na dziesięciu badanych (13 proc.) jest zdania, że używanie AI jest niewłaściwe lub sprzeczne z jego przekonaniami, a 10 proc. nie wiedziała o istnieniu takich narzędzi.

„Jeśli spojrzymy na deklaracje badanych w poszczególnych kohortach wiekowych, możemy zaobserwować, że młodzi ludzie zdecydowanie częściej niż pozostałe grupy decydują się nie korzystać z AI z powodu nieufności lub kwestii moralnych. Sześciu na dziesięciu (60 proc.) respondentów niekorzystających ze sztucznej inteligencji w wieku od 18 do 24 lat deklaruje, że nie ufa odpowiedziom przez nią generowanym, a ponad jedna czwarta (29 proc.) osób w wieku od 25 do 34 lat uważa korzystanie z AI za niewłaściwe lub sprzeczne z ich przekonaniami. Seniorzy natomiast częściej nie wiedzą, jak używać narzędzi sztucznej inteligencji (44 proc.), lub w ogóle nie wiedzą o ich istnieniu (15 proc.)" – czytamy w najnowszym raporcie CBOS.

Ważna ekologia

Marta pracuje w korporacji, trzy lata temu skończyła studia. Ze sztucznej inteligencji korzysta „jak wszyscy jej znajomi".

– Na pewno AI nie pisze za mnie tekstów – wybucha śmiechem. I tłumaczy, że nie ufa AI, bo często podawane przez sztuczną inteligencje informacje są nieprawdziwe, albo nie do końca prawdziwe. Trzeba je po prostu sprawdzać.

– Szkoda mi na to czasu. Dlatego, jeśli szukam jakichś informacji, robię to poza AI, w pewnych źródłach, których sprawdzać nie trzeba – mówi. Jej zdaniem, to, co przyciąga ludzi do AI, to szybkie odpowiedzi: „tak", „nie".

– Moi znajomi często potrzebują właśnie takiej prostej informacji bez analizowania kilku opracowań, czy tekstów. Chodzi po prostu o czas – wskazuje. AI grupuje wiedzę w jednym miejscu, więc nie trzeba biegać po sieci. Ona sama też korzysta z AI po to, żeby sprawdzić, ile kalorii ma określony produkt, jakie przyprawy ze sobą łączyć, a jakie nie, czasami sprawdza, jak napisać jakieś oficjalne pismo do urzędu.

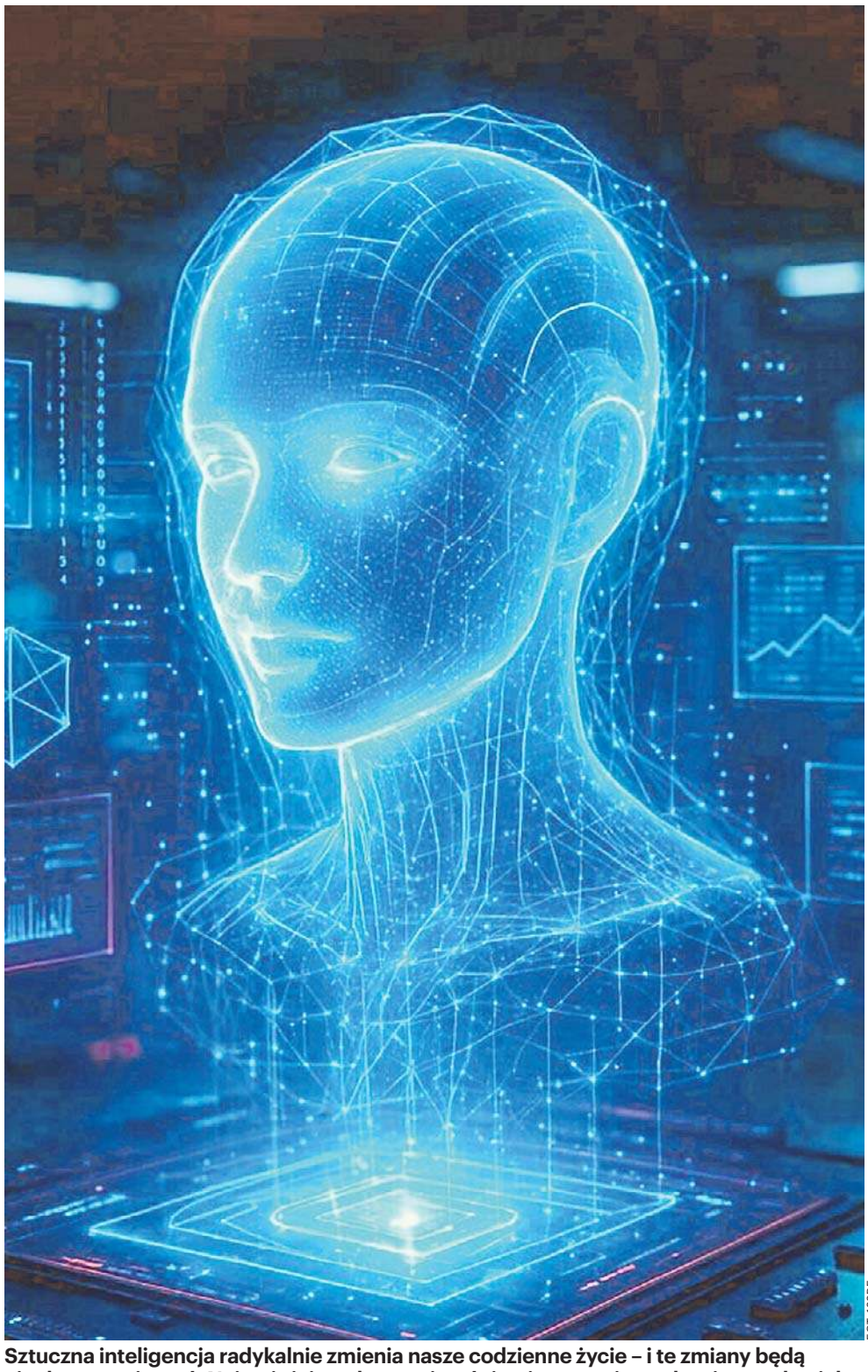
Marta nie jest fanką sztucznej inteligencji z jeszcze jednego powodu – ekologii.

– Centra danych obsługujące sztuczną inteligencję będą do 2030 roku zużywać tyle wody, ile wynoszą roczne potrzeby domowe 1,3 miliarda ludzi – mówi.

Według danych opublikowanych w magazynie „Nature", globalne zużycie wody przez centra danych AI to jakieś 560 miliardów litrów rocznie. Około 40 proc. z niej zużywane jest bezpośrednio na miejscu, w wieżach chłodniczych. Pozostałe 60 proc. to zużycie pośrednie, związane z produkcją energii elektrycznej potrzebnej do zasilania serwerów i produkcją samych chipów.

A prognozy nie są optymistyczne, o czym świadczy raport naukowców z Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych. Do 2030 roku globalne centra danych będą zużywać 945 te-

eprasa.pl d81d53de47



FOT. 123RF

Sztuczna inteligencja radykalnie zmienia nasze codzienne życie – i te zmiany będą ciągle przyspieszać. Najważniejsze, by pamiętać, że nie zastąpi ona drugiego człowieka

rawatogodzin energii elektrycznej rocznie. Żeby mieć obraz skali tego zużycia, wystarczy powiedzieć, że to niemal trzykrotnie więcej niż łączne roczne zużycie energii przez Pakistan, Bangladesz i Nigerię.

Powiązany z tym ślad wodny ma wynieść 9,3 biliona litrów, a ślad gruntowy przekroczyć 14,5 tys. km kwadratowych, czyli powierzchnię około dwukrotnie większą od aglomeracji Dżakarty, w której mieszka ponad 32 mln ludzi. Dodatkowo do 2030 r. infrastruktura związana ze sztuczną inteligencją będzie generować nawet 2,5 mln ton elektroodpadów rocznie.

– Dlatego rozumiem, że ktoś pyta AI o jakieś informacje, ale nie rozumiem już kogoś, komu sztuczna inteligencja obrabia zdjęcia, projektuje okładki książek, tworzy grafiki. Ktoś taki nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo niszczy naszą planetę – mówi Marta.

Badania naukowców z Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych, rzeczywiście, wykazały, że istnieją bardzo duże różnice pomiędzy poszczególnymi rodzajami zadań wykonywanych przez sztuczną inteligencję. I tak wygenerowanie pojedynczego obrazu może wymagać około 1450 razy więcej energii niż prosta analiza tekstu, krótki film wygenerowany przez AI zużyje tyle energii, co sprawdzenie 200 tys. wiadomości pod kątem spamu.

Dzisiaj głównym źródłem zużycia energii (80-90 proc.) przez sztuczną inteligencję jest generowanie odpowiedzi na zapytania użytkowników.

Sam ChatGPT obsługuje ok. 2,5 mld zapytań dziennie, a to około 383 GWh energii elektrycznej rocznie. Ślad wodny związany z jego funkcjonowaniem odpowiada minimalnym rocznym potrzebom domowym ok. 500 tys. mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej.

Autorzy raportu podkreślają, że nie są broń Boże przeciwko sztucznej inteligencji, która ułatwia życie miliardom ludzi na całym świecie, ale trzeba ją rozwijać uważnie, w granicach możliwości planety, bo wpływ AI na środowisko – emisja gazów cieplarnianych, zużycie wody, energia w całym cyklu życia technologii – jest ogromny.

Praktycznie użyteczna

Ewa, pięćdziesięciolatka, matka dwóch synów, używa AI do celów praktycznych: padnie jej roślina w ogrodzie, pyta sztuczną inteligencję: dlaczego i jak biedaczkę ratować. Coś się w domu zepsuje – szuka rady u AI, sztuczna inteligencja podpowiada jej, jak gotować, prać różne dziwne plamy, co warto przeczytać, czy na co pójść do kina.

Wojtek, po sześćdziesiątce, korzysta ze sztucznej inteligencji do obróbki zdjęć i ożywiania obrazów namalowanych przez przyjaciela.

Krystyna, już emerytka, pyta AI o wszystko, co związane ze zdrowiem. Chwali sobie te porady, bo ma wszystko zebrane w jednym miejscu: konkretnie, rzeczowo, nie trzeba wchodzić na dziesiątki stron. A jak chce jakieś informacje poszerzyć, doczytuje.

Magda, uczennica, codziennie wspomaga się AI przy odrabianiu lekcji.

Z raportu CBOS wynika, że sztuczną inteligencję wykorzystujemy najczęściej jako źródło informacji. Siedmiu na dziesięciu (70 proc.) pytanych zadeklarowało, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy często korzystało z AI, aby uzyskać konkretną informację lub odpowiedź na pytanie, przy czym jedna czwarta (25 proc.) robiła to codziennie lub prawie codziennie.

Kolejna sprawa: porady lub praktyczne wskazówki w sprawach codziennych, takich jak gotowanie, podróże, organizacja czy finanse. Więcej niż co drugi respondent korzystający ze sztucznej inteligencji zadeklarował, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy często używał jej w tym celu (54 proc.). Co konkretnie nas interesuje? Niemal połowa badanych (48 proc.) skorzystała ze sztucznej inteligencji, by uzyskać poradę w kwestii zdrowia. Nieco rzadziej respondenci korzystali z porad AI w kwestiach prawnych (38 proc.), urzędowych (32 proc.) oraz finansowych (31 proc.). Jedynie co siódma osoba (14 proc.) zadeklarowała, że w ostatnim czasie używała sztucznej inteligencji w celu uzyskania porady w sprawach osobistych i emocjonalnych, choćby w zakresie zdrowia psychicznego czy relacji z innymi.

Ponadto niemal połowa użytkowników generatywnej AI korzystało z niej do nauki lub samokształcenia (47 proc.) oraz do pracy zawodowej (45 proc.). W tej pierwszej grupie, wiadomo, prym wiodą uczniowie i studenci.

AI w pracy zawodowej wykorzystują głównie osoby pracujące na własny rachunek (77 proc.), kadra kierownicza i specjaliści z wykształceniem wyższym (65 proc.), średni personel i technicy (61 proc.) oraz pracownicy administracyjno-biurowi (51 proc.).

Mniej respondentów deklarowało częste korzystanie z AI dla rozrywki, towarzystwa, rozmowy lub zabicia czasu. Najmniej powszechne jest zaś korzystanie z AI po to, by porozmawiać o emocjach, relacjach z innymi, czy podzielić się swoimi przemyśleniami.

Z RAPORTU CBOS WYNIKA, ŻE 70 PROC. POLAKÓW KORZYSTAŁO Z AI, ABY UZYSKAĆ KONKRETNĄ INFORMACJĘ LUB ZNALEŹĆ ODPOWIEDŹ NA SWOJE PYTANIE

Pytania pozostają

Tak czy inaczej, sztuczna inteligencja to dzisiaj jeden z gorących tematów. Widać to także na forach internetowych. Oto jedno z nich.

Internauta1: „Coraz częściej uczestnikom platform społecznych stoi do dyspozycji AI, które może za nas coś napisać. Jako, że w czasach młodości sam programowałem, to zaciekawiło mnie, gdzie nas prowadzi sztuczna inteligencja. Historia AI zaczęła się w XX wieku, ale dzisiaj stała się istotnym czynnikiem komunikacji. Jak wpływa na komunikację między ludźmi? Moim zdaniem, niezbyt pozytywnie. Dlaczego? Bo bazuje na poprzednich i dostępnych wpisach, a zatem nie wnosi niczego nowego. Czy, jak kto woli, nie jest kreatywna. Poza tym korzysta z reputacji piszącego, nie wymagając od niego wiele pracy.

Czy są strony pozytywne? Pewnie to, że się w ogóle komunikuje jest rzeczą pozytywną. Poza tym czytający wpisy AI mogą wpaść na nowe idee i posunąć zrozumienie do przodu. Czy AI jest postępem? Trudno powiedzieć. Może doprowadza technikę do granic sensu…”.

Internauta2: „Aktualnie AI wykorzystuje naukę zaawansowanej statystyki matematycznej, więc nie jest to jeszcze AI w sensie inteligentnego myślenia”.

Internauta3: „Pójdźmy więc trochę dalej. Ludzki mózg też korzysta z zapamiętanych, przeczytanych, opowiedzianych faktów, by mieć opinię. Tak bardzo więc metody AI od mózgu ludzkiego się nie różnią. Pominąwszy biologię rzecz jasna”.

Internauta4: „W początkach badań nad AI wysiłki szły w kierunku budowy systemów logicznych, uzasadnianiu twierdzeń z aksjomatów przez reguły wnioskowania, itp. Ale ten kierunek badań został całkiem przykryty przez stosowanie statystyki do olbrzymich zbiorów przykładów, najczęściej ciągniętych z internetu. W tym nie ma już inteligencji, jest tylko »brutalna siła«. ChatGPT nie wykazuje własnego krytycyzmu do napotkanych »informacji«. Na pytanie »Ile jest dwa plus dwa?« odpowiada poprawnie tylko dlatego, że internet jest pełny poprawnych odpowiedzi. Na trochę bardziej skomplikowane pytanie może odpowiedzieć jakąś bzdurą. Ja go złapałem na niepoprawnym mnożeniu trzech liczb rzeczywistych. W jednej klasie nauczycielka polskiego poprosiła dzieci o wymyślenie jakiegoś takiego pytania na temat właśnie omawianej lektury, na które ChatGPT odpowie ewidentnie błędnie. Wszystkim uczniom, którzy naprawdę przeczytali tą lekturę, to zagięcie ChataGPT się powiodło. Uważam, że to było bardzo dobre ćwiczenie w wyrabianiu w uczniach krytycznego podejścia do AI. I w ogóle do »informacji« zaczerpniętych z internetu. Szkoda, że tak rzadko trenowane”.

Internauta5: „Jestem przeciw. AI zredukuje prace i wielu ludzi stanie się bezdomnymi. Problemem jest nie AI, ale taka organizacja społeczeństwa, która zapewni egzystencję i zdrowie psychiczne ludzi. Praca zapewnia zdrowie psychiczne i środki do utrzymania”.

Internauta6: „Wszystko zależy od tego, kto pisze instrukcje. Niedawno ta »inteligencja« wyprodukowała czarnego ss-mana i skośnookiego wikinga. Nie wspomnę o czarnym Washingtonie. Doskonale narzędzie do nieokiełznanego i bezwstydnego plagiatu. To przyniesie korporacyjną literaturę. Korporacyjną muzykę już mamy”.

Może jednak nie będzie tak źle. Wygląda bowiem na to, że nie zachłysnęliśmy się sztuczną inteligencją. Podchodzimy do niej z rezerwą, z różnych zresztą powodów.

„Wyniki badania pokazują, że z generatywnej sztucznej inteligencji korzysta obecnie co trzeci Polak. Technologia ta jest najpopularniejsza wśród ludzi młodych oraz przedstawicieli kadry kierowniczej. Osoby, które nie korzystają z AI, jako główny powód wskazują brak takiej potrzeby, obawy o bezpieczeństwo oraz nieufność wobec algorytmów, przy czym młodsi rezygnują z niej głównie z przyczyn etycznych, a starsi – z powodu barier technicznych. Osoby korzystające z AI traktują ją głównie jako zaawansowaną wyszukiwarkę informacji oraz wsparcie w pisaniu tekstów, tłumaczeniach czy tworzeniu grafik. Narzędzia te coraz częściej służą jako źródło konsultacji w sprawach zdrowotnych, prawnych i urzędowych” – podsumowuje swój raport CBOS.

Sztuczna inteligencja na pewno może być pomocna człowiekowi w wielu dziedzinach i na wielu płaszczyznach. Najważniejsze, żeby pamiętać, że nie zastąpi nam drugiego człowieka.

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

PIOTR NIEMCZYK: W SŁUŻBACH TRZEBA MIEĆ KRĘGOSŁUP MORALNY

Służby nie są po to, żeby załatwiać osobiste potrzeby polityków albo poprawiać ich samopoczucie. Mają służyć bezpieczeństwu państwa - mówi Piotr Niemczyk, były wiceszef wywiadu UOP i autor „Dekalogu szpiega”

Anita Czupryn

Pana książka „Dekalog szpiega” rozbraja popkulturowe wyobrażenia o szpiegach. Zacznijmy więc od podstawowego mitu: jak wygląda życie szpiega, kiedy zabierzemy mu smoking Jamesa Bonda?
Myślę, że ten smoking Jamesa Bonda to jest fałszywy trop. Oczywiście, spora część działań wywiadowczych toczy się w środowisku polityków, dyplomatów, biznesu, organizacji międzynarodowych, gdzie eleganckie ubranie ma znaczenie. Ale codzienność szpiegowska dużo częściej polega na tym, żeby spotkać się z kimś, odebrać informację i wtopić się w tło. Oficer wywiadu, który robi trasę sprawdzeniową, nie może się wyróżniać. Musi możliwie najlepiej dopasować się do otoczenia. Inaczej to wygląda w Pakistanie, inaczej w Paryżu. Smoking czy frak zwykle tylko by przeszkadzał.

Swoją książkę zbudował Pan na dziesięciu przykazaniach pracy w służbach. Od razu jednak uprzedza Pan, że o szpiegowaniu nie da się pisać wprost, bo służby ukrywają metody, źródła, ludzi i szczegóły operacji. A jednocześnie powstaje tak wiele powieści i filmów szpiegowskich. Czy dobra literatura szpiegowska bywa bliższa prawdy o warsztacie wywiadu niż oficjalne, ocenzurowane wspomnienia?
Niewątpliwie. To była moja pierwsza refleksja, kiedy zacząłem czytać książki Johna le Carré. One są bardzo dalekie od bondowskiej konwencji. George Smiley chodzi w wyciągniętych marynarkach, w zdeformowanych płaszczach, jest starszym panem z brzuszkiem. Kompletnie inny stereotyp niż James Bond. Kiedy czyta się le Carré i porównuje to z jego życiorysem, widać, że on znał ten świat. Był związany ze służbami, uczestniczył w przesłuchaniach uciekinierów zza żelaznej kurtyny, służył w Niemczech, miał dostęp do archiwów. Oczywiście w tych książkach są też podbarwienia, bo autor czasem musi dodać pościg, strzelaninę, trochę krwi, żeby to się lepiej sprzedało. Ale same intrygi często opierają się na rzeczywistych działaniach, planach, hipotezach. W wywiadzie, kiedy planuje się operację, zakłada się bardzo różne warianty. Większość z nich się potem nie sprawdza, ale świetnie nadają się do literatury. Ktoś, kto ma w głowie kilkadziesiąt takich przypadków, łatwiej przenosi je na papier. Dlatego czasami powieść szpiegowska jest ciekawszym źródłem wiedzy o metodach pracy niż opracowanie historyków.

A polscy autorzy? Vincent V. Severski mówił mi kiedyś, że wie o tym, iż niektórzy czytelnicy łapczywie szukają w jego powieściach prawdy o służbach. Jak Pan ocenia jego książki?
Z polskich autorów czytałem przede wszystkim Vincenta V. Severskiego i Aleksandra Makowskiego. Mam wrażenie, że nawet jeżeli ich książki odpowiadają jakimś rzeczywistym zdarzeniom, to częściej opowiadają o hipotezach rozwoju sytuacji, o założeniach. Kiedy czyta się Makowskiego, ma się czasem wrażenie, jakby się słuchało rozmowy ludzi planujących operację: jak to poprowadzić, jakie są warianty, w którą stronę historia może się potoczyć. W książkach Severskiego widać podział ról: jedni planują operacje, inni je realizują. Patrzę na to ze skrzywieniem zawodowym. Widzę role: analityków, operatorów, kierownictwo, które musi zatwierdzać operacje i przewidywać różne możliwości, żeby nie skończyły się klęską. Severski napisał na przykład „Niewiernych”, gdzie akcja częściowo toczy się w Iranie. Pomysł, żeby szukać w tunelach teherańskiego metra bunkrów z wirówkami do wzbogacania uranu, możemy oczywiście włożyć między bajki. Ale jeżeli skonfrontujemy to z książką Johna Pomfreta o polskich służbach i relacjach amerykańskich oficerów CIA, i dowiemy się, że Severski nadzorował jakieś operacje w Iranie, to zaczynamy inaczej patrzeć na realia opisane w powieści. Może same wydarzenia są fikcją, ale już szczegóły zachowania szpiega, unikania wpadki, safe house'y, czyli zapasowe lokalizacje, gdzie oficer wywiadu może się schować, albo pomysły na eksfiltrację – to wszystko bywa bardzo prawdopodobne. Możemy się domyślać, że operacja, która w książce dzieje się w konkretnym kraju, w rzeczywistości była oparta na zdarzeniach z zupełnie innego miejsca. Zmieniono je po to, żeby nie ujawnić tajemnicy operacji, która jeszcze przez lata powinna pozostać za kotarą niejawności.

Pierwsze przykazanie w Pana książce brzmi: szef jest jeden. Kim powinien być szef służby? Byłym oficerem? Człowiekiem z autorytetem, wyobraźnią, państwowym instynktem, odpornym na politykę?
Zanim odpowiem, może najpierw o tym, skąd w ogóle wziął się pomysł na tę książkę. Przez wiele lat byłem wykładowcą, długo w ośrodku szkolenia ABW w Emowie. Moimi słuchaczami byli przede wszystkim oficerowie kontrwywiadu, czasem także osoby, które potrzebowały ukończenia kursów do awansu. Co jakiś czas dyskusja przechodziła na etyczną stronę działania służb specjalnych. Kierownictwo szkoły poprosiło nawet kiedyś zaprzyjaźnionego ze służbą księdza i mnie, żebyśmy poprowadzili rozmowę o etyce w służbach. Powszechne przekonanie jest takie, że etyka i służby specjalne to zupełnie rozbieżne rzeczy. Uważam inaczej. Jeżeli z powodów formalnych i etycznych pozwalamy sobie na łamanie pewnych norm prawnych i moralnych, to żeby to nie zamieniło się w przestępczość zorganizowaną albo patologię, trzeba mieć bardzo silny kręgosłup moralny. Trzeba wiedzieć, że cel, dla którego stosuje się takie środki, jest naprawdę ważny. Nie wolno pewnych środków stosować do pewnych celów. Nie umiem sobie wyobrazić, że w działaniach dotyczących bezpieczeństwa wewnętrznego można się zdecydować na to, żeby kogoś zabić. W wywiadzie zdarzają się takie sytuacje, podaję przykłady w książce, ale jednak są pewne granice. Ponieważ w służbach te granice są przesunięte dużo dalej niż w innych działalnościach, człowiek, który decyduje się na taką pracę i nie robi tego dla pieniędzy ani osobistego celu, tylko dla służby społeczeństwu, musi mieć twardy kręgosłup moralny. Dlatego zacząłem konfrontować działalność wywiadowczą i służby specjalne z dziesięcioma przykazaniami.

I to, o czym Pan mówi, mieści się w drugim przykazaniu z Pana dekalogu: „Nie wszystko wolno, chociaż to zależy”.
Tak. To jest oczywiście gra słów, a nie rozprawa filozoficzna. Drugie przykazanie mówi, że nie będziesz przywoływał imienia Pana Boga swego nadaremno. Czyli są wartości, których nie należy szargać w sprawach błahych. Służby nie są po to, żeby załatwiać osobiste potrzeby polityków albo poprawiać ich samopoczucie. Mają służyć bezpieczeństwu państwa. Wracając do pani pytania o szefa: dla mnie najważniejsze jest, żeby miał szacunek podwładnych i żeby podwładni byli wobec niego lojalni. Ale żeby oni byli lojalni wobec szefa, szef sam musi być lojalny wobec nich. Nie umiem sobie wyobrazić, że dobrym szefem będzie ktoś, kto po niepowodzeniu powie: “Wszystko było świetnie zaplanowane, tylko moi oficerowie schrzanili”. Dobry szef bierze na klatę także niepowodzenia i nie rozlicza podwładnych z własnych błędów. Niektóre rzeczy kończą się fiaskiem nie dlatego, że ludzie źle je wykonali, tylko dlatego, że od początku były źle zaplanowane. Albo operacja w ogóle nie miała sensu, a szef służby zgodził się na nią, bo chciał się komuś przypodobać albo liczył na własną karierę polityczną. Moim zdaniem mniej ważne jest, czy szefem jest polityk, który w dobrej wierze realizuje program poprawy bezpieczeństwa, czy człowiek ze służby, który przeszedł wszystkie szczeble kariery, od oficera liniowego do sztabowca. Najważniejsze jest, żeby był lojalny wobec służby, wobec siebie i wobec podwładnych. Wtedy system zaczyna działać.

W rozdziale „Nie wszystko wolno, chociaż to zależy” stawia Pan pytanie, które wydaje mi się osią książki: kiedy dopuszczalne jest naruszenie prywatności, czy eliminowanie zagrożeń ma moralne uzasadnienie i gdzie zaczyna się nadużycie, gdy nie chodzi już o bezpieczeństwo państwa? Kto naprawdę kontroluje instytucję, która działa w tajemnicy?
To chyba klucz tej książki. Nie udaję, że znajduję prostą odpowiedź. Zastanówmy się, jak daleko może posunąć się tajny współpracownik policji albo oficer działający pod przykryciem, który wchodzi do grupy przestępczej i żeby zdobyć jej zaufanie, musi popełnić przestępstwo. Do czego wolno mu się posunąć? Nie wiemy tego, bo nawet jeśli istnieją instrukcje wewnętrzne, są głęboko niejawne. Gdyby szefowie grup przestępczych wiedzieli, gdzie jest granica, natychmiast dawaliby takiemu człowiekowi zadania, które ją przekraczają: pobij kogoś, zabij, przewieź narkotyki, sprzedaj coś na czarnym rynku. Dlatego o tym trudno mówić. To jest tajemnica, a granica jest płynna. Inaczej zachowamy się, kiedy mamy do czynienia z ryzykiem, że broń masowego rażenia trafi w kolejne ręce, a inaczej, kiedy chodzi o wykradzenie tajemnic przemysłowych jakiegoś prototypu. Te granice będą leżały gdzie indziej. Pamiętam szkolenie prowadzone przez Amerykanów. Mówili, że jedną z najważniejszych rzeczy w służbach jest lojalność wobec agenta, wobec człowieka, który ryzykuje życie, wolność i zdrowie, żeby zdobyć informację. Zapytałem: „Co, jeśli mamy źródło, które mówi nam o zaawansowanym programie atomowym Muammara Kaddafiego, a nasza reakcja może to źródło

eprasa.pl d81d53de47

ujawnić? Jeżeli ludzie Kaddafiego zorientują się, skąd mamy prawdziwe informacje, wytypują tego człowieka. Amerykanie odpowiedzieli: „Jeżeli mówimy o zagrożeniu bombą atomową, ochrona agenta ma znaczenie drugorzędne". Czyli zasada „chronimy źródła" też pada w momencie konfrontacji na najwyższym szczeblu ryzyka i wartości. W sumie najmocniejszym tematem mojej książki jest to, że trzeba mieć bardzo silny kręgosłup moralny. Bo nie ma gotowych recept.

Trzecie przykazanie: święta są ważne. Dlaczego tajne służby potrzebują świąt i rytuałów?
Bo trudne i niebezpieczne zadania, które wykonują służby specjalne, nie zawsze są adekwatnie wynagradzane. Człowiek, który patrzy tylko na pieniądze, często wybierze korporację, a nie służby. Trzeba mu więc to w jakiś sposób wynagrodzić. Etos służby jest pewnym wynagrodzeniem, bo ludzie mają świadomość, że wybrali trudne życie w służbie społecznej, a niekoniecznie takie, na którym najlepiej zarobią. Ale jak długo taka motywacja działa? Jeśli ktoś wchodzi do służb i traktuje ten wybór poważnie, idzie tam na lata. Budowanie tożsamości funkcjonariusza czy oficera ze służbą wymaga stałej opieki. Opisuję w książce rozmowę z jednym z szefów, który zaczął wprowadzać mundury i sztandary. Zapytałem go: po co w tajnej służbie mundury i sztandary? Odpowiedział: "Na co dzień po nic, ale jeżeli nie jesteśmy w stanie zapłacić ludziom pieniędzmi, zapłacimy im godnością. Niech mają poczucie, że uczestniczą w czymś ważnym, że ta służba ma historię, a jest to przeważnie pozytywna historia ludzi, którzy poświęcili zdrowie, życie i wolność, żeby państwo było bezpieczniejsze". Na przykładach historycznych łatwiej to pokazać niż na konstrukcjach filozoficznych. Dlatego tradycje są ważne.

To łączy się z kolejnym przykazaniem: „Cześć i chwała bohaterom".
Właśnie. To jest trochę odpowiednik przykazania: „Czcij ojca swego i matkę swoją". Oficer nie musi zaczynać od zera i wymyślać wszystkiego na nowo. Są historie, które już się zdarzyły; po modyfikacjach można zastosować podobne pomysły. Dotyczy to nie tylko metod operacyjnych, lecz także moralnej strony pracy. Historia pokazuje, do jakich wartości używano jakich narzędzi. W czasie wojny, kiedy ryzyka są najwyższe i ludzie ryzykują życiem, stosuje się inne narzędzia niż w czasie pokoju, kiedy państwa są ze sobą zaprzyjaźnione albo udają, że są zaprzyjaźnione. Z historii uczymy się, na co możemy sobie pozwolić także moralnie, kiedy chcemy zdobyć informację. Tu cały czas trzeba się zastanawiać. Nie ma gotowych recept.


FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Piotr Niemczyk: Służby nie są po to, żeby załatwiać osobiste potrzeby polityków albo poprawiać ich samopoczucie. Mają służyć bezpieczeństwu państwa

Piąte przykazanie w Pana wersji brzmi: „Nie zabijaj, jeśli nie musisz". To najbardziej filmowe i mroczne wyobrażenie o służbach. Dlaczego w kinie szpieg zabija co kilka minut, a w rzeczywistości skuteczniejszy bywa ten, kto czeka, nie zwraca na siebie uwagi i zdobywa informację?
Henryk Bosak, wysoki rangą oficer wywiadu jeszcze w PRL-u, bardzo nerwowo reagował, kiedy słyszał, że w wywiadzie trzeba kogoś zabić. Mówił: „Nie, wywiad jest od zdobywania informacji, a to są wygłupy". Większość filmów, które uważamy za szpiegowskie, to moim zdaniem filmy przygodowe. Nie mają wiele wspólnego ze szpiegowaniem, zdobywaniem informacji i cierpliwością. Oczywiście nawet porządna książka szpiegowska bywa dobarwiana, bo czytelnik tego oczekuje. Ale oficerowie, kiedy słyszą o rzekomym ciągłym zagrożeniu życia, często się obruszają. Zwłaszcza oficer działający pod przykryciem dyplomatycznym, z paszportem i immunitetem, w Europie aż tak bardzo nie ryzykuje. Tylko to jest perspektywa europejska albo północnoamerykańska. Pojedźmy do Afryki albo na Bliski Wschód, a zobaczymy, że zabijanie szpiegów albo zabijanie przez szpiegów w samoobronie jest całkiem realne. Policzyłem, że od początku XXI wieku, nawet przed wojną w Ukrainie, mieliśmy kilkadziesiąt przypadków zabójstw wykonywanych przez służby albo na ich zlecenie. Znowu dochodzimy do moralności. Jeżeli kogoś nie sposób postawić przed sądem, a wiemy o jego oczywistych zbrodniach, pytanie, czy wolno go zabić, staje się prostsze. Więcej niepokoju można mieć przy operacjach, których celem było eliminowanie osób odpowiedzialnych za irański program atomowy. Czy uczestnictwo w projekcie budowy broni atomowej uzasadnia tak daleko idące działania? W potocznym odczuciu moralnym pewnie tak. Ale nie stawiam tego na ostrzu noża: zbrodnia czy nie zbrodnia. Jeżeli ludzie, którzy podejmowali takie decyzje, zachowali kręgosłup moralny i mieli rzeczowe argumenty, to być może tak trzeba było zrobić. Ale tu znowu nie ma gotowych odpowiedzi.

Rozdział o cudzołóstwie pewnie będzie dla czytelnika jednym z najbardziej atrakcyjnych. Ale czy seks naprawdę jest tak ważnym narzędziem szpiegowania? I co w pracy operacyjnej jest bardziej niebezpieczne: seks czy zakochanie?
To bardzo skomplikowane. Z seksem jest trochę jak z zabijaniem. Ludzie są przekonani, że w służbach wszyscy ciągle się zabijają i uwodzą, a oficerowie, którzy z tych służb się wywodzą, zwykle reagują na to z pobłażaniem. Seks jest niewątpliwie przereklamowany. Warto pamiętać, że zasadą w służbach jest, iż funkcjonariuszom nie wolno wchodzić w relacje osobiste ze źródłami informacji. To nie jest tak, że żeby zdobyć agenta albo agentkę, trzeba go lub ją uwieść.

Przypomniała mi się sprawa agenta Tomka i posłanki Beaty Sawickiej.
To było absolutne złamanie prawa i wszelkich norm etycznych, dlatego że nie chodziło tam o zdobycie informacji o prawdziwym przestępstwie, tylko o kreowanie przestępstwa. Ze względów etycznych i prawnych było to niedopuszczalne. Można powiedzieć, że w służbach zasadą jest niewchodzenie w intymne relacje i niemieszanie ich z działaniami operacyjnymi. Od tej zasady jest być może więcej wyjątków, niż możemy sobie wyobrazić. Wyjątkiem może być próba zwerbowania źródła, ale nie w ten sposób, że oficer czy funkcjonariuszka wywiadu kogoś uwodzi, tylko podstawia się osobę do uwiedzenia. Nie chcę mówić „prostytutkę", bo równie dobrze może to być męska prostytutka. W literaturze często opisuje się takie narzędzia jako „jaskółki", zwłaszcza w kontekście służb rosyjskich.

„Czerwona jaskółka".
Właśnie, jest taka powieść. Ale to działało po obu stronach. Pytanie, czy aż tak często? Niekoniecznie. Kompromaty (materiały kompromitujące – red.) zdobyte z relacji damsko-męskich, męsko-męskich czy damsko-damskich są dziś dużo mniej kompromitujące niż kiedyś. Czasy się zmieniają. Jest taki żart: ktoś dostaje zdjęcie z kobietą w łóżku i mówi: „Wyślijcie to żonie, znajomym i jeszcze kolegom z pracy". Z drugiej strony w historii są przykłady zinstytucjonalizowanego używania seksu jako narzędzia. W NRD istniał projekt uwodzenia sekretarek polityków, urzędników i osób ważnych w biznesie czy obronności. Za jego pomysłodawcę uważany był Markus Wolf, szef wywiadu Stasi. Mamy też historię rotmistrza Jerzego Sosnowskiego, który uwiódł trzy swoje podstawowe agentki.

O czym mówi historia rotmistrza Sosnowskiego?
Dałem jej w książce podtytuł: „Podwójna kara za zdradę". Kary, które poniosły osoby związane z tą sprawą – Sosnowski i jego agentki – były nie tylko fizyczne: aresztowanie, więzienie, procesy, wyroki. Co najmniej dwie jego agentki zostały ścięte. Drugą karą była niesława. Sam Sosnowski, kiedy wrócił do Polski, został oskarżony o zdradę. To pokazuje wieloznaczność tych sytuacji. Oficer ryzykuje życiem, zdrowiem i wolnością, ale ponieważ jego działania są skomplikowane etycznie, ktoś może mu zarzucić, że załatwiał własne interesy. Sosnowski bardzo długo odzyskiwał dobre imię. Dla niektórych do dziś go nie odzyskał, choć wiemy już dość dużo o jego roli i o tym, jak nieprawdopodobnie cenne informacje zdobywał, nie tylko z punktu widzenia polskiego wywiadu, lecz także alianckiego.

Siódme przykazanie: „Nie kradnij", u Pana brzmi przewrotnie: „Okradaj przeciwników". To jeden z najbardziej przygodowych rozdziałów. Co naprawdę warto ukraść przeciwnikowi?
Najważniejsze z punktu widzenia klasycznego wywiadu jest zdobycie informacji o planach przeciwnika. I wbrew pozorom to nie musi być dokładny dokument ani nagranie bardzo ciekawej rozmowy. Czasem to jest kilka informacji, z których można zbudować hipotezę, co ta osoba naprawdę myśli i planuje. Trzeba umieć połączyć informacje wywiadowcze z informacjami ze źródeł otwartych. Dziś jawność życia politycznego jest tak duża, że wiele można ustalić, śledząc media, deklaracje polityczne, biznesowe, wojskowe. Ale ten wywiadowczy smaczek to niewielki procent informacji, które mówią o rzeczywistych intencjach i planach. W największym uproszczeniu mówiąc, w pewnym momencie społeczność wywiadowcza wiedziała już, że dojdzie do wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ale informacją o najwyższym ciężarze gatunkowym była dokładna data. Sądząc po skutkach, można się domyślać, że Ukraińcy tę datę znali. Niektóre przykłady pokazują, jak dobrze byli przygotowani do oporu wobec rosyjskiej agresji. W czasach zimnej wojny bardzo ważne były technologie wojskowe, prawdziwe albo nieprawdziwe. Pokazuję w książce hipotezę, że wiedza o technologiach wojskowych Stanów Zjednoczonych w pewnym sensie przyczyniła się do upadku Związku Radzieckiego. Związek Radziecki zorientował się, że jeżeli ma utrzymać taki poziom technologiczny w sektorze zbrojeniowym, nie da rady. William Casey, kiedy został szefem CIA na początku lat 80., zorientował się, jak poważnie Sowieci traktują informacje o amerykańskich nowinkach technologicznych. I pojawił się pomysł, żeby podrzucić im informacje o rzeczach, które być może nigdy nie powstaną. Tak działał projekt „wojen gwiezdnych", w dużej mierze bardziej życzenia niż realne zdobycze technologiczne. Ale umiano to tak podać wywiadowi radzieckiemu, że uznał, iż Stany Zjednoczone są tak zaawansowane, że Związek Radziecki nie wytrzyma tego wyścigu. Dzisiaj, w czasach ochrony własności intelektualnej, wygląda to inaczej. Możemy mówić, że Chiny nad-

dokończenie na str. 22

eprasa.pl d81d53de47

dokończenie ze str. 21

używają cudzej własności intelektualnej, ale technologię dużo trudniej ukraść. Różne rzeczy w różnych czasach mają znaczenie.

Kolejne Pana przykazanie, czyli Fałszywe świadectwa, wpisuje się w dzisiejsze czasy, w dezinformację w internecie, wojnę trolli i botów, fabrykowane przekazy. Pisze Pan, że profesjonalna dezinformacja zawiera dużo prawdy, a w błąd wprowadza szczegół. Jak to działa?
Fałszywe świadectwa mają dwa kierunki. Dezinformacja jest tylko jednym narzędziem. Drugim jest budowa fałszywej tożsamości, tak zwanej legendy, żeby przykryć własne cele i wprowadzić przeciwnika w błąd. Dziś rozmowa o klasycznej dezinformacji wydaje się ważniejsza, ale trzeba pamiętać, że dezinformacja jest tak stara jak działalność polityczna. To nieprawda, że została wymyślona teraz. Dostała tylko nowe narzędzia. Media społecznościowe przyspieszają rozpowszechnianie kłamstwa, ale go nie stworzyły. Wystarczy pomyśleć o „Protokołach mędrców Syjonu". To była dezinformacja wyprodukowana na potrzeby Ochrany i zatruła umysły chyba setkom milionów Europejczyków.

Do dziś są ludzie, którzy się na nie powołują.
Wtedy media społecznościowe nie były do tego potrzebne. Różnica polega na tempie. Kiedyś taka fałszywka zdobywała popularność dziesięcioleciami. Dziś rozeszłaby się w kilka dni. Czas zatruwania umysłów jest dużo krótszy, ale narzędzia są podobne.

Ludzki moim zdaniem jest rozdział „Opiekuj się żoną". Jak wygląda małżeństwo ze szpiegiem, który nie może powiedzieć, gdzie był, z kim się spotkał i dlaczego wrócił później? Co jest większym zagrożeniem: zdrada, tajemnica czy samotność?
Tu nie ma dobrego wyjścia. Mówi się nawet, że rozwody są jedną z chorób zawodowych oficerów wywiadu. Tak jak choroby kręgosłupa są chorobami zawodowymi szyfrantów. Nie jest jednak tak, że małżonkowie nic nie wiedzą. Zwykle, kiedy młody człowiek zostaje oficerem wywiadu, jego współmałżonek albo osoba, z którą jest w poważnej relacji, spotyka się z przełożonym. Słyszy: "Proszę sobie zdawać sprawę, że pani mąż czy pana żona będzie realizować ważne zadania, o których nie będzie mógł opowiadać, będzie czasem znikać i nie zawsze będzie mógł się z tego wytłumaczyć". Tylko że to działa przez pół roku. Potem pojawia się zniecierpliwienie: nie da się zaplanować wspólnego weekendu, bo w każdej chwili coś może się zdarzyć. Małżonek znika na kilka dni albo tygodni i życie zaczyna się rozklejać. Świadomość, że realizuje ważne zadania, wcale tego życia nie ułatwia. Może zmniejsza podejrzenia, ale też przecież można to wykorzystać: powiedzieć, że wykonuje się ważne zadanie, a w rzeczywistości spotykać się z kochanką. W literaturze szpiegowskiej często wraca problem wierności małżeńskiej. Tu też nie ma prostych zasad. Z jednej strony małżonkowie nie wiedzą dokładnie, na czym polega praca oficera. Z drugiej są sytuacje, kiedy jadą z nim za granicę i realizują różne zadania wspólnie. Częściej dotyczy to żon, bo oficerami wywiadu nadal częściej są mężczyźni. Żona czasami odgrywa ważną rolę, pomaga w sprawach technicznych czy organizacyjnych. Te zależności są bardzo różne. Czasem to prosta droga do rozwodu, a czasem bardzo bliska współpraca.



FOT. CC

Piotr Niemczyk: Sherlock Holmes był też szpiegiem. Działał pod przykryciem, penetrował aktywa niemieckiego wywiadu w Irlandii

Ostatnie przykazanie z Pana książki to: Nie czuj zazdrości ani zawiści. Czy szpieg może się wykoleić dlatego, że chce być skuteczny, doceniony, ważny, ale urażone ego okazuje się silniejsze?
Strasznie dużo jest takich przypadków. Nie mogę opowiadać o konkretnych sprawach z własnego doświadczenia, bo groziłaby mi za to odpowiedzialność. Ale widziałem wiele osób głęboko sfrustrowanych tym, że ich kariera źle się potoczyła, że ktoś przywłaszczył sobie ich osiągnięcia, że mieli dobry pomysł, ale nie pozwolono im go zrealizować, bo ktoś inny miał lepsze kontakty z kierownictwem. Koterie i kumoterstwo czasami działają lepiej niż dobre pomysły. Jeden z najcenniejszych agentów Zachodu w historii zimnej wojny, znany jako Farewell, czyli Władimir Wietrow, oficer wywiadu radzieckiego, zdecydował się na współpracę z francuskim wywiadem między innymi dlatego, że został pominięty przy awansie. Był sfrustrowany i uważał, że ktoś przywłaszczył sobie jego sukcesy. Jeżeli w szpiegostwie można kogoś okraść, to można go okraść z prestiżu, sukcesu, osiągnięć. Widziałem sytuacje, kiedy po ważnej operacji ustawiał się rząd ludzi do orderów. Najważniejsze odznaczenia i nagrody dostawali przełożeni, którzy często nie tylko nic nie zrobili, ale jeszcze bardziej przeszkadzali, niż pomagali. A ludzie, którzy naprawdę ryzykowali, dostawali podrzędne benefity. To jest bardzo szkodliwy mechanizm. Powoduje frustrację, ale też utrudnia współpracę między służbami. Jeżeli służby boją się, że ktoś przejmie im sprawę, a prawdziwych autorów wystawi do wiatru, to przestają chcieć współpracować. Przykładem złej współpracy był 11 września. W Stanach Zjednoczonych kultura współpracy między służbami jest być może najlepsza na świecie, są grupy zadaniowe, wiele służb miesza się i potrafi razem pracować. A jednak wtedy FBI miało wiedzę, że młodzi muzułmanie uczą się latać, CIA miała informację, że może dojść do zamachu z użyciem samolotów, ale te informacje się nie spotkały. Nie mogę powiedzieć, że akurat w tym przypadku zadziałał lęk, że ktoś komuś przywłaszczy wiedzę. Ale takie bywają skutki braku zaufania.

Pana zdaniem szpiegostwo to rzemiosło, sztuka czy choroba charakteru?
Szpiegostwo jest wyzwaniem, które występuje też w wielu innych zawodach. Dziennikarz chce pisać o ważnych, ciekawych tematach, chce mieć pozycję zawodową i podejmuje się trudnych rzeczy. W nauce bywa podobnie. Na ile szpiegostwo różni się od dziennikarstwa czy pracy naukowej? Na pewno trochę. Ale samo szpiegostwo też jest bardzo różne. Do jednych zadań sprawdzają się ludzie z bardzo dobrymi zdolnościami interpersonalnymi: potrafią każdego zagadać, z każdym się dogadać. Do innych będą to osoby z wręcz aspergerowskimi skłonnościami, ale wybitne analitycznie. Obie charakterystyki są w wywiadzie potrzebne. Idealnie byłoby łączyć umiejętności interpersonalne z analitycznymi, ale to zdarza się bardzo rzadko. Dlatego trzeba szukać i takich, i takich ludzi. Niektóre elementy bardziej przypominają rzemiosło, inne pracę naukową. Czy to jest sztuka? W niektórych przypadkach pewnie tak. Tak jak w sporcie: są umiejętności, które przekraczają granicę techniki i stają się sztuką.

Przyszedł mi do głowy Arsène Lupin. Miał w sobie dużo finezji, można rzec, że był w swoim fachu artystą, ale nie był szpiegiem, tylko przestępcą.
To popatrzmy na inną postać literacką z podobnego okresu, na Sherlocka Holmesa i jego metody dedukcyjne. Najpopularniejsze opowieści pokazują go jako detektywa, ale Holmes był też szpiegiem. Działał pod przykryciem, penetrował aktywa niemieckiego wywiadu w Irlandii, dotarł do nich przez Stany Zjednoczone, gdzie zintegrował się ze społecznością irlandzką. Są opowiadania Conan Doyle'a czysto szpiegowskie. I widać w nich, że w wywiadzie sprawdzają się obok umiejętności analitycznych, także interpersonalne.

KSIĄŻKA



Piotr Niemczyk, „Dekalog szpiega" Wydawnictwo: HARDE, Warszawa 2026

eprasa.pl d81d53de47

OTO TERMINATOR, TWÓJ NAJLEPSZY OBROŃCA

Nigdy nie zawiedzie, zawsze obroni i niczego nie będzie żądał w zamian. Pojawił się w kinie 3 lipca 1991 r. jako T-800 w filmie Jamesa Camerona „Terminator 2: Dzień sądu”

Mariusz Grabowski

Myślą się ci, którzy traktują „Terminatora 2” jako kolejną bajkę z gatunku sf. To zakamuflowany traktat o przyjaźni, tym bardziej pożądanej, że bezinteresownej i ofiarnej aż do końca. Co z tego, że spełnianej przez maszynę.

Niczym Prometeusz

Czy James Cameron był świadom, że niechcący nakręcił moralitet? W jednym z wywiadów dla „Variety” z lipca 1991 r. przyznał, że filozoficzny wątek w „Terminatorze 2” nie był do końca przypadkowy. „Motyw poświęcenia jest głęboko zakorzeniony w kulturze antycznej i chrześcijańskiej” – tłumaczył. To sedno moralności, a wszak Terminator poświęca swoje istnienie nie w wyniku zaprogramowania, ale dokonując świadomego wyboru.

Skąd pomysł, aby maszyna zachowała się niczym heros albo święty? Odpowiedzi trzeba szukać u autora scenariusza „Terminatora” – Williama Wishera Jr. Rzadko udziela wywiadów, ale w 2017 r. zgodził się na krótki interview dla internetowego magazynu undertheradarmag.com. Z interesującego nas wątku warto zacytować następujący fragment: „Przecież odwiecznym marzeniem ludzkości jest postulat miłości doskonałej. Powiedziałem Jamesowi (Cameronowi), że T-800, z twarzą Arnolda Schwarzennegera, to taki Prometeusz epoki techno. Śmiał się, ale zgodził się ze mną”.

Z życia krytyków

Prometeusz, Antygona, Ifigenia, a w chrześcijaństwie Chrystus i jego uczniowie. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” – mówi Zbawiciel w Ewangelii św. Jana. Terminator nie cytuje Pisma, w ogóle jest mało gadatliwy (w Terminatorze” powiedział zaledwie 65 słów, w „Terminatorze 2” 700), ale gdy nadchodzi stosowny moment, wypełnia swoją misję aż do końca.

Gilbert Adair, brytyjski pisarz, dziennikarz i krytyk, który doczekał się lekko prześmiewczego miana „największego wroga Terminatora”, był doskonałym przykładem kogoś, kto nie chciał tego dostrzec. Gdy w 1984 r. w kinach pojawił się „Terminator 1” Adair nazwał go filmem „odrażającym do ostatniego stopnia”. Gdy siedem lat później debiutował „Terminator 2”, wzburzenie Adaira tylko się wzmogło. Tym razem zarzucił filmowi „atrakcyjność zakorzenioną w bezbożnej mieszance faszyzmu i mody”.

A przecież Gilbert Adair potrafił być bardzo spostrzegawczy, a nawet wyrafinowany. W jego CV stoi, że dostał nagrodę za opracowanie angielskiej wersji powieści Georges’a Pereca „A Void”, w której ani razu nie zostaje użyta litera „e”. Z kolei w 2001 r. wydał biografię chłopca, który zainspirował Tomasza Manna do napisania powieści „Śmierć w Wenecji” – „The Real Tadzio”.

Nowy św. Paweł

Być może niedostrzeganie wątków etycznych w popkulturze wynika z jej wszechogarniającej miałkości. W zalewie tandety ofiarny gest T-800 z „Terminatora 2” faktycznie może umknąć moralistom. A jeśli nawet coś zauważą, zwykle nie mają tyle szczęścia co nieprzejednany Adair.

Podajmy przykład: w 1994 r., po premierze „Pulp Fiction” Quentina Tarantino, grupa filozofów ze Stanfordu, podpisująca się akronimem GORGIAS, wypuściła w uczelnianej sieci internetowej tekst „St. Paul Lives on Screen”. Wedle postawionej przez nich tezy jeden z bohaterów filmu – Jules Winnfield, grany przez Samuela L. Jacksona – to współczesny nawrócony Szaweł, rzucony w świat rządzony przez Księcia Ciemności. Tylko on, dowodzili, w oceanie nihilizmu potrafi odczytać Boże znaki. Do tego stopnia, że rzuca gangsterkę i zaczyna patrzeć na swoje życie inaczej – nie jak na łańcuch zleceń i krwawych egzekucji, lecz jako drogę czynienia dobra na skutek imperatywu moralnego.

Ten dość oryginalny tekst obrósł dziś tyloma interpretacjami i komentarzami, że na forach kinomaniaków stał się niemalże legendą. Ale po protestach i zamieszkach z udziałem ruchu Black Lives Matter, które przetoczyły się przez amerykańskie oraz zachodnie uczelnie w 2020 r. zniknął i cytowany bywa zwykle z drugiej ręki.

Gdzie jest Bóg?

Wróćmy do „Terminatora 2” i związanych z nim wątków etycznych. Na stronie KulturaDobra.pl, reklamującej się jako „Przewodnik dla rodzin chrześcijańskich po świecie filmu”, znaleźć można takie oto przemyślenia: „Produkcja ma też swoje bardziej wyraźne i pozytywne lekcje moralne. Jednym z takowych plusów jest tu wskazanie na to, iż ludzie jako posiadający dar wolnej woli, mogą kształtować swą przyszłość, w związku z czym zło i tragedie, jakie mogą nadejść, nie są absolutnie nieuchronne”.



FOTCAROLCO PICTURES/PACIFIC WESTERN/LIGHTSTORM ENTERTAINMENT/COLLEC

Skąd pomysł, aby maszyna zachowała się niczym heros albo święty? Odpowiedzi trzeba szukać u autora scenariusza „Terminatora” – Williama Wishera Jr.

Dalej: „Co prawda, jako że w filmie tym nie ma wzmianek o Panu Bogu, podana wyżej prawda jest niepełna przez to, iż nie uwzględnia Bożej wszechwiedzy i tego, iż np. prorocy mogą w imieniu Bożym, w sposób pewny przepowiadać pewne złe wydarzenia, nie zaprzeczając przy tym ludzkiej wolności (gdyż Bóg po prostu wie, jakich ludzie dokonają wyborów)”.

I wreszcie: „»Terminator 2« co prawda nie neguje wiary w Stwórcę, ale pomija ją milczeniem, przez co podejrzenie o wyrażanie w nim tendencji świeckiego humanizmu wydaje się dość zasadne”.

Czy ty myślisz?

To ciekawe, że autorzy tego tekstu nie stawiają nasuwających się automatycznie pytań: skoro w filmie nie ma wzmianek o Panu Bogu, dlaczego terminator zdecydował się na dokonanie całopalnej? Jakim kierował się kodeksem etycznym? Skąd wreszcie w maszynie wziął się taki ładunek empatii? Przecież zadanie, jakie otrzymał od Johna Connora mówiło jedynie o „ochronie jego młodszego wcielenia”.

Na to pytania nie ma odpowiedzi. Na szczęście, bo przecież „Terminator 2” to przede wszystkim popkulturowa rozrywka, Podszyta, w przeciwieństwie do filozofii i teologii, sporą dawką łatwo przyswajalnej psychologii. Spójrzmy na bohaterów i relacje między nimi. Kino akcji tu zespolono z sentymentalną opowieścią o potrzebie prawdziwej przyjaźni. Mamy samotną matkę, chłopaka tęskniącego za nigdy niezaznaną ojcowską miłością, w końcu robota, który nieoczekiwanie zostaje uczłowieczony.

Na to kładzie się motyw nieprawdopodobnej, ale chwytającej za serce relacji, który wspaniale kontrastuje z beznadzieją świata. Jeśli dodamy do tego niebezpieczeństwo w postaci diabolicznego T-1000, który potrafi przyjąć kształt i wygląd każdego trwałego ciała stałego, można zrozumieć jakim emocjonalnym naciskom poddany zostaje widz.

Rozumiesz?

A może cały wątek ofiary jest zwykłą ściemą? Może Cameron i Wisher wstawili do filmu scenę z poświęceniem się Terminatora ot tak, bo pasowała to do finału? A całą gadkę o głębszych motywach Terminatora dodali ex post? Przecież niewiele wcześniej między bohaterami filmu toczy się taki oto dialog:

Terminator: „Dlaczego płaczecie?”

John Connor: „Mówisz o ludziach?”

Terminator: „Tak”

John Connor: „Nie wiem. Po prostu. Kiedy boli”

Terminator: „Ból to powoduje?”

John Connor: „Nie. Czasem wszystko jest w porządku, ale i tak ci źle. Rozumiesz?”

Terminator: „Nie”.

Trudno uwierzyć, że ten sam Terminator ma się bezpowrotnie rozpuścić w bani z płynną surówką w imię jakiejś wyższej racji. Bezduszny, blaszany byt, który nie ma szans na choćby najmniejszą abstrakcyjną iskrę w swych obwodach scalonych.

Będzie dobrze...

Jedna z ostatnich kwestii filmu brzmi: „Pędzi ku nam nieznana przyszłość. Po raz pierwszy czekam na nią z nadzieją w sercu. Bo jeśli maszyna, Terminator, potrafiła docenić wartość ludzkiego życia, może i nam się to uda”. Taniocha tego tekstu aż razi, ale cóż z tego, skoro od 1991 r. świetnie spełnia swoją rolę.

Można iść o zakład, że np. wśród twórców AI odsetek oglądaczy serii o Terminatorze jest znacząco większy, niż w przypadku innych zawodów. Można być też pewnym, że Schwarzenegger nigdy nie wygrałby w 2003 r. wyborów na gubernatora Kalifornii, gdyby nie jego najdłuższa w historii polityki kampania reklamowa na ekranach.

Śledząc perypetie T-800 i zaopiekowanych przezeń Connorów czujemy się więc pocieszeni, że jeszcze nie wszystko stracone. A nawet w jakiś sposób dowartościowani faktem, że maszyna może być szlachetniejsza niż człowiek. Czy to nie idealna konstatacja dla wszystkich wakacjuszy kinomanów leżących właśnie plackiem na rozgrzanej od słońca plaży?

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

Dlaczego urlop nie zawsze działa jak reset, czemu słowo „muszę” psuje wakacje i po czym poznać, że naprawdę odpoczęliśmy – mówi Joanna Zaręba, coachka i autorka książki „Jak się odstresować”

Anita Czupryn



FOT. 123RF

Joanna Zaręba: Oduczyliśmy się odpoczywania, a relaks jest tylko wyrzutem sumienia

„MUSZĘ”, CZYLI KIEDY WAKACJE SĄ NA PRZEGRANEJ POZYCJI

Dlaczego nie umiemy odpoczywać, nawet wtedy, kiedy wreszcie mamy wolne?
Bo wydaje nam się, że odpoczywanie jest czymś karygodnym, złym, dowodem na to, że jesteśmy egoistycznymi, leniwymi ludźmi. Takie mamy niestety wychowanie, że gdzieś z tyłu głowy siedzi ta myśl, że jak człowiek siada, żeby odpocząć, to znaczy, że jest leniwy. W kręgu naszych babć i matek pokutowało przekonanie, że jak gospodyni usiądzie na chwilę, to znaczy, że jest niegospodarna. A jak mężczyzna usiądzie, to znaczy, że nie jest „robotny”. I takie wychowanie przenosi się, niestety, na nas. W związku z tym wszyscy dwoimy się i troimy, biegamy ciągle, zostajemy w pracy po godzinach, żeby tylko poczuć, że zasługujemy na to, by powiedzieli o nas, że jesteśmy dobrymi, pracowitymi ludźmi.

To kulturowy efekt, że odpoczynek budzi poczucie winy?
Podejrzewam, że tak. Pamiętam jeszcze, jak moje obie babcie szczyciły się tym, że nawet na chwilę nie przysiadały. Ciągle coś robiły, znajdowały sobie pracę nawet jak już wszystko było zrobione. A kiedy moja mama próbuje usiąść i poczytać, tata od razu sobie przypomina, że trzeba natychmiast coś zrobić: kanapkę, herbatę, kawę, cokolwiek. Byleby tylko nie odpoczywać. Są kultury, w których wysiłek jest ceniony bardziej niż efekty pracy. W Japonii pracownik ucinając sobie w biurze drzemkę dowodzi, że jest zaangażowany i pracuje tak ciężko, że po prostu nie daje już rady. To trochę paradoks, drzemka ceniona jest nie jako sam odpoczynek, ale dowód zmęczenia. My Polacy, może nie mamy tak skrajnego podejścia, ale mamy w sobie przekonanie, że trzeba w widoczny sposób, bardzo ciężko pracować, żeby zasłużyć na awans lub podwyżkę. Hasło pracuj mądrzej, nie ciężej dopiero się u nas przyjmuje. Tak samo jest zresztą już w szkole. Uczniowie najczęściej nie są chwaleni za to, że znajdą sposób, żeby coś zrobić lepiej, szybciej, mądrzej albo kreatywniej, tylko za to, że siedzą i uczą się na pamięć. Większość świadectw z czerwonym paskiem dostajemy właśnie za naukę na pamięć. Taka forma edukacji jest kusząca, bo wydaje się odpowiednio ciężka, ale jest w miarę prosta i bardzo łatwo daje poczucie, że jesteśmy dobrymi uczniami.

„Pojadę na urlop, to wreszcie odpocznę” – słyszę teraz często. Zastanawiam się, czy urlop zawsze działa jak magiczny przycisk z napisem „reset”?
Bywa różnie. Niektóre osoby są w stanie wcisnąć sobie przycisk resetu. Ja nauczyłam się tego po osiemnastu latach w korporacji. Kiedy mam urlop, chwytam książkę i odpoczywam już od pierwszej chwili. Nie robię niczego związanego z pracą i o pracy nie myślę. Ale zajęło mi to bardzo dużo czasu. Są osoby, które na urlop zabierają służbowego laptopa albo przynajmniej sprawdzają służbową pocztę w telefonie, bo mają poczucie, że tylko w ten sposób kontrolują to, co dzieje się pod ich nieobecność. Inna sprawa to wypoczynek aktywny lub pasywny. Dla jednych odpoczynkiem jest leżak i książka, inne wypoczywają, w ruchu, i to jest jak najbardziej w porządku. Ale są również ludzie, którzy nie tyle wypoczywają w ruchu, ile nie są w stanie się zatrzymać. Gdziekolwiek zdecydują się spędzać urlop, każdą jego minutę od rana do wieczora mają zaplanowaną i wypełnioną aktywnością. Najpierw muzeum, potem szybkie zwiedzanie galerii sztuki, rzut oka na słynny widok do obejrzenia, a zaraz potem kolejne muzeum i błyskawiczna wycieczka po parku. I oni tak naprawdę nie mogą ani na chwilę przystanąć, bo wtedy dogania ich niepokój.

Czyli: „muszę zwiedzić”, „muszę zrobić zdjęcia”, „muszę zaliczyć”. Wydaje mi się, że słowo „muszę” jest największym wrogiem wakacji.
Kiedy „muszę” wchodzi na scenę, wakacje są już na przegranej pozycji.

A kiedy na wakacjach pojawia się cisza, kontakt z naturą, dobre jedzenie, woda, zapachy, czyli wszystko, co powinno działać kojąco na układ nerwowy, część z nas nagle czuje się nieswojo. Dlaczego?
Bo przywykliśmy do tego, że cały czas jesteśmy w biegu. Oduczyliśmy się odpoczywania, a relaks nie jest już dla nas normalnym stanem, tylko wyrzutem sumienia. Zakładając, że maksymalny urlop to dwadzieścia sześć dni, to przez resztę roku jesteśmy wciąż zapracowani. I nagle zostajemy wystrzeleni z tego kosmosu pracy i zmęczenia gdzieś poza niego. Nie wiemy, jak mamy z tym żyć. Przez cały rok mówimy sobie: „Na urlopie wreszcie usiądę, odpocznę, jak się położę na leżaku, to nie wstanę przez dwa tygodnie”. A potem siadamy na tym leżaku i po pierwszych dwudziestu minutach zaczynamy się zastanawiać: „Co ja mam teraz zrobić? Jak się tak w ogóle da żyć? Tak nic nie robić? Niczym się nie zajmować? O niczym nie myśleć?”. Bo człowiek pozostawiony sam ze sobą zaczyna myśleć, dopada go autorefleksja i to też może budzić obawy. Pojawiają się trudne emocje, przemyślenia. A kiedy jest się zapracowanym, nie trzeba myśleć o różnych niewygodnych rzeczach, nie trzeba mierzyć się z przykrymi emocjami, bo praca porządkuje nasz świat i zajmuje czas. A na urlopie człowiek siada, chce odpocząć i okazuje się, że nie jest w stanie być spokojny ze swoimi myślami. Więc musi natychmiast się czymś zająć.

W swojej książce „Jak się odstresować” pisze pani, że stres jest w ciele. Gdzie go szukać?
Wszędzie. Stres wpływa na całe ciało, ponieważ reakcja stresowa jest reakcją naszego organizmu na negatywne bodźce. Ciało czuje, że dzieje się coś, co mu się nie podoba, a jednocześnie wie, że nie może nic z tym zrobić. Powiedzmy, że mamy w pracy trwającą falę zwolnień, wiemy o tym i boimy się, że może trafić i na nas, ale nie mamy na to wpływu. Nasze ciała pozostają w takiej sytuacji w ciągłym stresie i ten stres się kumuluje. Dla naszych przodków fizyczną reakcję stresową wyzwalała obecność drapieżnika, nagły hałas, atak innego członka grupy. Ale po pewnym czasie ulegała wygaszeniu, a w opisanym przykładzie ta reakcja trwa cały czas. Może nie zawsze tak intensywnie, jak gdyby goniły nas wilki, ale za to zostaje z nami non stop. Ciało w takim trybie awaryjnym jest jak kraj w stanie wojennym. Gospodarka zamiera, a rządy przejmuje wojsko i policja, gotowe na szybką reakcję w przypadku natrafienia na zagrożenie. Czasowo taki stan gotowości w ciele jest potrzebny, a nawet zbawienny, ale na dłuższą metę ogranicza ciału możliwość regeneracji, odbudowy, leczenia. Dobrym przykładem jest wpływ stresu na układ trawienny. W sytuacji awaryjnej krew pompowana jest do mięśni, a potrzeby żołądka schodzą na dalszy plan. Jeżeli stres przeciąga się zbyt długo, trawienie i wchłanianie pokarmu ulega zaburzeniom. W przewlekłym stresie cierpi nie tylko nasz układ nerwowy, ale pokarmowy i odpornościowy. Do tego dochodzi zmęczenie, permanentnie spięte mięśnie i problemy ze snem. A jeżeli nie śpimy, bo budzi nas niepokój, dodatkowo obciążamy organizm, bo sen jest wymagany do prawidłowego funkcjonowania. Bezsenność jeszcze bardziej nas wykańcza i wtedy jeszcze gorzej znosimy stres.

Ciało każdego człowieka reaguje na stres inaczej?
Tak, dużo zależy od indywidualnej odporności na stres, od genów, a nawet wychowania. Na przykład znam osoby, które w stresie spinają ramiona i barki, odczuwają ból pleców. Sama miałam taki moment w pracy, kiedy po dwóch godzinach już czułam, że właściwie powinnam iść na masaż. Ale inni zaciskają pięści, ogryzają paznokcie lub zgrzytają zębami w nocy. Znam też kogoś, kto starł sobie zęby tak bardzo, że większość będzie chyba musiał wymieniać. Niektórzy w stresie mają głównie problemy z zasypianiem i wybudzają się w nocy, a u pewnej grupy ludzi pojawia się też tak zwane zajadanie stresu. Wtedy na scenę wchodzą comfort foods, czyli pocieszające jedzenie: zwykle tłuste, słodkie albo bardzo słone, a ono źle wpływa na ciśnienie, cholesterol i dodatkowo obciąża już cierpiący od przewlekłego stresu organizm. Można by tak wymieniać i wymieniać, bo stres wychodzi z nas na milion różnych sposobów, bezpośrednio i pośrednio.

Istnieje obiegowa opinia, że potrzebujemy co najmniej dwóch tygodni urlopu, bo pierwszy tydzień jest właściwie zmarnowany, dopiero uczymy się odpoczywać, jesteśmy rozdrażnieni, zmęczeni, kłótliwi. Czy jest taki moment, kiedy organizm schodzi z wysokich obrotów?
U mnie w pracy mówi się nawet o trzech tygodniach: pierwszy tydzień to szok, że jestem na urlopie, drugi tydzień to odpoczynek, a trzeci to mentalne przygotowywanie się na powrót. Ale to bardzo indywidualne. Są osoby, które wyrobiły w sobie nawyk: ostatni e-mail przed urlopem i „Widzimy się za dwa tygodnie, nawet o was nie myślę”. Inni nieszczęśnicy przez pierwszy tydzień urlopu będą biegać w panice, bo nie będą wiedzieli, co ze sobą zrobić i odsapną dopiero po paru dniach, kiedy się przyzwyczają do odpoczynku. A dla niektórych dwa tygodnie to w ogóle za mało, żeby odpocząć i potrzebowaliby dłuższej przerwy. Czasami ludzie w ogóle odmawiają wybierania dni urlopowych, bo nie wyobrażają sobie siebie odpoczywającego. I kończy się na tym, że wreszcie zmuszeni są wziąć zwolnienie lekarskie, bo są tak zestresowani i przemęczeni, że kończy się na wizycie u psychiatry i po-

eprasa.pl d81d53de47

trzebna jest dłuższa rekonwalescencja, czasami ze wsparciem farmakoterapii. Bardzo dużo zależy od organizmu, sytuacji indywidualnej, od tego, co nas stresuje i jak wygląda nasza praca. Inaczej będzie reagował pracownik w firmie, w której wszystko dobrze się układa, a inaczej ktoś, kto idzie na urlop i za dwa tygodnie może się okazać, że już nie pracuje.

Jest jeszcze presja idealnych wakacji. Jeśli jadę na drugi koniec świata i wydałam dużo pieniędzy, te wakacje po prostu muszą być idealne. To też może stresować?

Może. Jeżeli chcemy mieć idealne wakacje, będziemy szukać idealnych ujęć. Zrobimy milion zdjęć, których prawdopodobnie nigdy nie obejrzymy, poza tymi, które wrzucimy na Instagram. Umówmy się: kto wraca do domu i ogląda wszystkie tysiące zdjęć? Niewiele osób. Będziemy dążyć do tego, żeby zawsze wyglądać ładnie i odpowiednio entuzjastycznie. Nie będzie miejsca na to, żeby np. powiedzieć sobie „dzisiaj chodzę po górach, pocę się, średnio się czuję, ale daję sobie na to pozwolenie i po prostu chcę odpocząć.” Za to może się okazać, że skupimy się na tym, żeby zawsze być w pełnym makijażu, w modnym i drogim ubraniu. Jeśli coś będzie nieidealnie, poczujemy się z tym bardzo źle, bo nie sprostamy własnym wymaganiom i wymaganiom otoczenia. A otoczenie prędko się przyzwyczaja, że na wakacjach wyglądamy super. Więc jeśli nagle wyglądamy gorzej, jesteśmy nieuczesani, to pojawia się pytanie: co się stało? To też jest bardzo obciążające. Zresztą każde dążenie do ideału, który z natury rzeczy jest niemożliwy, wytwarza dodatkowy stres. Jeśli próbujemy zrobić coś idealnie, a nasze możliwości nie dorastają do ideału, czujemy się tylko gorzej. Potem próbujemy jeszcze bardziej idealnie się pokazać, żeby podnieść nadwątloną samoocenę, ale to tylko wpędza nas w błędne koło frustracji.

Jak więc zaplanować urlop, żeby był odpoczynkiem, regeneracją, spełnieniem naszych potrzeb, a nie tabelką zadań i listą atrakcji?

Przede wszystkim trzeba ustalić, jakim typem osoby jesteśmy. Dla jednej osoby taka tabelka może być uspokajająca, bo są ludzie, którzy bez dokładnego planu nie czują się bezpiecznie. Ale ten plan musi być przewidziany tak, żeby był czas na poprawki i zmiany. Trzeba zaakceptować, że nie zawsze wszystko wyjdzie i się uda. Są też osoby, które w ogóle nie planują, tylko jadą, jak to się mówi, na przysłowiową „pałę” i wtedy czują się najlepiej. Mój kolega pojechał w ten upalny weekend nad morze. W piątek powiedział mi: „Wymyśliłem, że w sobotę jedziemy nad morze na jeden dzień”. Więc go pytam: „Ale to jest ileś godzin drogi? Chce się wam tak?”. A on: „To nic. Pojedziemy, posiedzimy, a jak nam się spodoba, znajdziemy jakiś nocleg, przenocujemy i wrócimy w niedzielę”. Ja bym w tej sytuacji umarła ze stresu, bo potrzebuję mieć to zaplanowane: gdzie będę mieszkać, czym dojadę, od której, jak będę spać. A on po prostu jedzie nad morze i, jeśli mu się spodoba, zostaje na noc. Jak widać, każdy będzie planował urlop inaczej. Najważniejsze, żeby nie planować dnia od śniadania do kolacji co do minuty, bo każdy plan w pewnym momencie się załamuje. I trzeba się z tym pogodzić.

Sama czasem mówię sobie: „Anita, uspokój się, masz wolne, jesteś na wakacjach”, ale ciało nie słucha. Co wtedy robić?

Chyba najprostsze są ruch i ćwiczenia oddechowe. Ćwiczenia oddechowe działają na dłuższą metę, jeśli stosuje się je regularnie, ale potrafią też dość szybko wyciszyć reakcję stresową w momencie, w którym ona się pojawia. Jeżeli chodzimy, poruszamy się, ćwiczymy, stres też trochę odpuszcza, ponieważ wytracamy energię. Ciało skupia się na czymś innym niż tylko reakcja stresowa. Nasi przodkowie, kiedy coś ich goniło, zatrzymywali się i relaksowali, dopiero kiedy udało im się uciec. Wysiłek fizyczny w stresie był sygnałem dla ich ciała, że reagowali, bronili się, uciekali, a kiedy ustawał, to była dla organizmu informacja, że już są bezpieczni. Niestety, współczesność jest taka, że na stres zwykle reagujemy na siedząco, bo większość naszych stresów jest związana albo z pracą biurową, albo z siedzeniem i zamartwianiem się o coś. To nie jest naturalna dla ludzkiego ciała reakcja.

Co daje natura, czego nie da nam kanapa i telefon w ręku?

Natura przede wszystkim wycisza i uspokaja układ nerwowy. Daje inne otoczenie: zieleń, delikatne dźwięki, naturalne bodźce. W mieście jest inaczej. Wystarczy zobaczyć Warszawę nocą: tu neon, tam neon, tu żółty, tu różowy, tu dzwoni tramwaj, tu trąbią samochody. Wystarczy wejść do galerii handlowej przed świętami, żeby zobaczyć, jak działa przebodźcowanie. W naturze mamy mniej bodźców i organizm może się powoli wyciszyć w naturalnych dla siebie warunkach. Miasto, praca, dużo ludzi, hałas, komunikacja miejska – to jest masa bodźców, a my nie byliśmy przewidziani na takie obciążenie. Mówi się o zanieczyszczeniu światłem, o zanieczyszczeniu dźwiękiem. Mało kto może powiedzieć w Warszawie, że kiedy zgasi światło i nie ma zaciemniających rolet, to ma w mieszkaniu ciemno i może normalnie spać. To duży problem dla układu nerwowego.

Wyobraźmy sobie pierwszy dzień urlopu. Co zrobić, żeby ciało zrozumiało, że już nie musi nigdzie biec?

Do urlopu trzeba się dobrze przygotować, tak żeby nie mieć wymówki dla: „Jeszcze coś muszę sprawdzić w pracy”. Jeśli mamy komuś przekazać pracę, przekazujemy. Jeśli mamy przygotować automatyczną odpowiedź e-mailową, szykujemy ją. Sprawdzamy, co możemy zostawić po urlopie i wpisujemy to w harmonogramy, żeby nie było potem: „Ojej, zapomniałam sprawdzić, to przy okazji zerknę na e-mail, odpiszę na parę wiadomości, jeszcze kolega zadzwoni, bo czegoś nie wie”. Trzeba dopilnować, żeby wszystko było domknięte. A pierwszego dnia urlopu zamykamy laptopa w szufladzie. Służbową komórkę też zamykamy w szufladzie. Niektórzy dowcipnie radzą, żeby wrzucić ją do toalety, ale to jednak zbyt drastyczny środek. Uprzedzamy wszystkich w pracy, że jesteśmy na urlopie i stawiamy sprawę jasno, żadnych służbowych rozmów telefonicznych. Jeżeli nie mamy do czynienia z pożarem biura, a dzwoniąca osoba nie zamknęła się właśnie w tym biurze razem z ogniem, niech nie dzwoni. A wtedy najlepiej niech dzwoni na straż pożarną, a nie do nas. I szykujemy sobie coś, co zajmie naszą uwagę w relaksujący sposób. Ja mam akurat książkę, kryminał, który na urlopie próbuję czytać po włosku, bo się uczę tego języka. On świetnie skupia moją uwagę, bo nie mogę czytać go za szybko, gdyż jeszcze tak dobrze nie znam włoskiego. To daje kombinację skupienia uwagi i relaksu. Niektórzy po prostu włączą Netflixa i obejrzą ulubiony serial.

Po pewnym czasie to też może być męczące, bo jednak nas przebodźcowuje, ale na początek urlopu warto zaryzykować i zrobić coś, co nas mocno schwyci i będzie trzymać w trybie odpoczywania, żeby nie chciało nam się koniecznie sprawdzać, co dzieje się w pracy. No i pod żadnym pozorem nie dzwonić do pracy, nie dowiadywać się, jak poszło kolegom z ważnym spotkaniem, co się dzieje, czy coś słychać nowego. To prosta droga do nieszczęścia.

Nie wszyscy są na urlopie. Niektórzy dopiero na niego czekają, inni w ogóle nigdzie w tym roku nie wyjadą. A odpoczywać trzeba. Jak odstresować się po zwykłym dniu pracy?

Najważniejsza jest granica. Granica między pracą a życiem prywatnym. Wiem, że to trudne. Patrzę czasami na LinkedInie, jak ludzie piszą, że work-life balance jest dla przegrywów, a prawdziwi, silni przedsiębiorcy są non stop w pracy. Nie. To ma swoją nazwę: kultura zapierdolu. Ona powoduje, że nie mamy szansy odpocząć, bo nie mamy granicy między życiem a pracą. Musimy móc powiedzieć sobie: w tym momencie jestem w pracy, a w tym momencie jestem w życiu prywatnym. Jeżeli wpuszczę pracę do życia prywatnego, a praca mnie stresuje, nie ma opcji, żebym odpoczęła. Trzeba tę granicę wykształcić. Trzeba mieć hobby, rzeczy, które zajmą nas poza pracą, zainteresowania pomagające budować tożsamość nas jako człowieka, nie pracownika. Znam osoby w wieku moich rodziców, które przez całe życie zajmowały się tylko pracą. Kiedy moi rodzice zapraszali znajomych na kawę, rozmawiali z nimi głównie o pracy, a ja zawsze byłam zdziwiona: „Jak można tyle mówić o pracy!?”. A potem złapałam się na tym, że kiedy ja spotykam się z ludźmi i robię dokładnie to samo. I pomyślałam: „O nie, tak się nie będziemy bawić”. I teraz, kiedy się z kimś spotykam, rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o życiu zawodowym. Trzeba koniecznie mieć coś, czym się żyje, kiedy nie jest się w pracy. Dosłownie: trzeba mieć coś takiego, że gdyby nas teraz zwolnili (zakładając, że nie bylibyśmy w kryzysie finansowym, mielibyśmy poduszkę i bylibyśmy finansowo bezpieczni) moglibyśmy sobie bez wahania odpowiedzieć na pytanie: kim teraz jesteśmy? Kiedy nie jestem dyrektorem, kucharzem, prezesem, taksówkarzem, kiedy nie jestem moim zawodem, to kim jestem? Co robię, kiedy nie pracuję? Bo prędzej czy później zadamy sobie to pytanie na emeryturze.

Bardzo podobało mi się w pani książce „leżenie plackiem”. Pisze pani, że warto wykonywać to ćwiczenie codziennie, najlepiej po pracy. Dlaczego właśnie wtedy?

Bo ono robi tę granicę, o której mówiliśmy. Wiele osób pracuje dziś zdalnie. Pandemia szybko pokazała, że można tak pracować, ale równie szybko okazało się, że wtedy granica znika. Normalnie człowiek wychodzi z pracy, wsiada do autobusu i tą granicą pomiędzy życiem zawodowym a prywatnym staje się przejazd do domu. A kiedy pracujemy zdalnie, skąd mam wiedzieć, czy jestem jeszcze w pracy, czy już w domu? Jeżeli w pracy siedzę przy laptopie, a po pracy piszę książkę też na laptopie, potrzebuję symbolicznej przerwy. Leżenie plackiem bardzo dobrze się w to wpisuje. Wychodzi z nas napięcie, oddech się uspokaja, krew trochę wolniej krąży, ciśnienie spada, zwłaszcza jeśli ktoś nas przez cały dzień irytował. Kiedy się położymy, poleżymy i poczekamy, aż zejdzie z nas napięcie, to w momencie, w którym wstajemy, wiemy już, że jesteśmy po drugiej stronie granicy. Po tej domowej.

W książce pokazuje pani też ślepe uliczki: używki, zajadanie stresu, zakupy, unikanie problemów, rozładowywanie emocji. Która z tych strategii najczęściej udaje odpoczynek?

U niektórych takim udawaczem paradoksalnie bywa aktywność fizyczna. Myślą, że jeżeli pójdą pięć razy w tygodniu na siłownię, to się odstresują, a jednocześnie nie robią nic z tym, co ich stresuje. Ruch oczywiście pomoże do pewnego stopnia, ale jeśli sytuacja jest kiepska, a oni nie chcą z niej wyjść, to będzie tylko plaster. Są też rzeczy, które bardzo lubią udawać, że nas odstresowały. Na przykład używki. Niektórzy mówią „Wypiję sobie codziennie jedno piwko po pracy, żeby się odstresować”. To nie jest odstresowanie. To jest niestety droga do uzależnienia. Lubimy uczucie, które daje alkohol: zapominamy o problemach, schodzi napięcie mięśniowe, wyciszamy się. Tylko że to nie usuwa problemów, nie usuwa źródła stresu, nie zmniejsza go de facto. Alkohol jest neurotoksyczny, dlatego go pijemy – bo zmienia nam stan świadomości, po nim stajemy się nieco bardziej beztroscy. Ale jednocześnie szkodzi zdrowiu i dokłada kolejne źródła stresu, bo powoli stawiamy się w sytuacji, w której nie jesteśmy w stanie odstawić tego wieczornego piwka, które ma nas odstresować. A jednocześnie jego spożycie odbija się nie tylko na nas, ale i na otoczeniu, chociażby spłycając i niszcząc relacje.

Jak odróżnić przyjemność, która naprawdę regeneruje, od tej, która tylko na chwilę znieczula?

Niektóre rzeczy można od razu przesunąć do kategorii: „na chwilę znieczula”. Narkotyki, papierosy, alkohol, tego typu używki to są znieczulacze, strzały dopaminy. Telefon, granie na komórce, doom-scrolling też można tam zaliczyć. To ma dać szybką dopaminę, ale nie działa uspokajająco ani wyciszająco. Przy całej reszcie warto pytać: ile tego jest i jaką funkcję pełni. Weźmy aktywność fizyczną. Znam osoby, które biegają półmaratony albo maratony, bo lubią biegać, trenować, kochają być w ruchu i w pewnym momencie myślą: „To teraz przebiegnę maraton”. Super! Ale znam też osoby, które mówią: „Przebiegłam dziesięć maratonów i jeszcze muszę kolejny. Wstaję o piątej, przebiegnę parę kilometrów, bo muszę trenować, potem czas do pracy, po pracy znowu muszę pobiegać, potem siłownia, potem jeszcze trening rozciągający”. A rodzina gdzie? A odpoczynek gdzie? A czas spędzany w ciszy na autorefleksji? „Nie, nie, ja muszę kolejny maraton”. I wtedy to jest ucieczka. Jeżeli nie możemy bez czegoś żyć, to znak, że to jest jakiś rodzaj uzależnienia i że maskuje nam inne problemy.

Po czym poznamy, że wracając z urlopu, naprawdę odpoczęliśmy? Że to nie był tylko odpoczynek w relacji na Instagramie, ale że czujemy go fizycznie w ciele?

Po luźniejszych mięśniach, poczuciu spokoju, po tym, że rozbiegane myśli nie są wszędzie, nie zalewają nas, zwłaszcza kiedy kładziemy się spać przed pracą ostatniego dnia urlopu. Jeśli na początku byliśmy nerwowi, drażliwi, łatwo się kłóciliśmy, a teraz jesteśmy bardziej wyluzowani i cierpliwsi, to też jest znak. Nie wystarczy już pokiwać nam paluszkiem, żebyśmy zaraz na kogoś nakrzyczeli. Nie ma też takiej paniki, że wracamy do pracy. Chociaż to nie zawsze jest oznaka tego, czy się zrelaksowaliśmy, bo możemy przez dwa tygodnie świetnie odpocząć, ale jeśli wracamy do toksycznego środowiska pracy, cały ten relaks pójdzie na marne, jeśli tej pracy nie zmienimy. Jest coś takiego jak syndrom niedzielnego wieczoru: w niedzielę wieczorem człowiek już czuje, że będzie źle, że już go napełnia lękiem nadchodzący poniedziałek. Więc jeśli wracając do pracy czuję, że jest dobrze, że mam naładowaną baterię, że jestem spokojna, silna, że nie mam bieganiny myśli, to znaczy, że odpoczęłam. Ale też, że mam dobre miejsce, do którego wracam.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Zaręba
Coach psychologiczny, autorka książek, w tym „Jak się odstresować”, która ukazała się w lipcu nakładem Wydawnictwa RM.



eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

TOMEK LIPIŃSKI: NIE CHCĘ BYĆ ZAKŁADNIKIEM SWOJEJ PRZESZŁOŚCI

To prawdziwa legenda polskiego rocka: znamy go przede wszystkim z ponadczasowych piosenek zespołów Tilt i Brygada Kryzys. Teraz na rynek księgarski trafiły jego wspomnienia – „Jeszcze będzie przepięknie" i „Jeszcze będzie normalnie". W rozmowie z nami zdradza, dlaczego ostatnio wygasił swą muzyczną działalność

Paweł Gzyl

Do tej pory opowiadałeś nam o sobie za sprawą swych piosenek. Co sprawiło, że postanowiłeś teraz zrobić to szerzej w postaci aż dwutomowej autobiografii?
To, co odsłaniam w piosenkach, to niewielki fragment mojego życia. Kończę w tym roku 71 lat – i chcesz tego czy nie, to moment, w którym myśli się o rzeczach ostatecznych i o tym, co zostawisz po sobie. Gdyby pozostały po mnie tylko piosenki, to byłby obraz niepełny i przez to fałszywy. Dlatego postanowiłem sam napisać o sobie. Im dłużej żyję i słucham opowieści ludzi o tym, jak to kiedyś było, to mam coraz mocniejsze wrażenie, że nie zgadza się to z moim doświadczeniem. Nie mówię tu oczywiście, że to moje doświadczenie jest prawdziwe, a innych są nieprawdziwe. Wydaje mi się tylko, że nie ma jednej obiektywnej wersji historii, tylko mozaika jej subiektywnych wersji. Kiedy sobie to uświadomiłem, uznałem, że mam potrzebę opowiedzenia o czasie, na który przypadło życie mojego pokolenia.

Czyli urodzonych w połowie lat 50.?
Tak. To pokolenie największego powojennego wyżu demograficznego, którego udziałem stało się niezwykłe doświadczenie. Wchodząc w życie, witaliśmy pierwsze czarno-białe telewizory, a odchodząc teraz – zostawiamy kompletnie inny świat. Czyli za naszego życia rzeczywistość przeszła od czegoś, co przypominało XIX wiek do współczesności rodem z filmów science-fiction. Chciałem też i o tym napisać.

Kiedy zacząłeś pracę nad autobiografią?
Sześć lat temu. Jeden z moich fanów dokonał wtedy niezwykłej rzeczy: pracowicie przeskanował internet i różne inne źródła - i obdarował mnie plikiem tekstowym, w którym było wszystko, co zaistniało w przestrzeni publicznej na mój temat. Kiedy zacząłem to czytać, okazało się, że co najmniej trzy czwarte nie pokrywa się z rzeczywistością. Wtedy pomyślałem sobie, że skoro w epoce internetu taki ogrom informacji jest niezgodny z rzeczywistością, to jak zafałszowany musiał być wcześniej. A to oznacza, że cały obraz historii, jaki mamy, jest w ogromnym stopniu fikcją. To był kolejny impuls, żeby spisać swoją historię.

W jednym z ostatnich wywiadów powiedziałeś: „Pisanie autobiografii jest czymś znacznie trudniejszym, niż się na początku wydaje". Co to oznacza?
To pisanie było najtrudniejsze z psychologicznych przyczyn. Przez wiele lat nie do końca znałem historię mojego przyjścia na świat. Ani mama, ani tata nigdy nie chcieli za bardzo o tym rozmawiać. Wiedziałem tylko z grubsza co się wydarzyło: że mama miała romans z żonatym mężczyzną i zaszła z nim w ciążę. Choć tata zażądał aborcji, mama postanowiła mnie urodzić. Dokładnie opisała to na kilka lat przed swoją śmiercią w 2017 roku w prywatnych notatkach. Dotarłem do tych wspomnień, kiedy jej już nie było na tym świecie. Zapoznanie się z nimi było dla mnie emocjonalnym wstrząsem.

Nic dziwnego: życie twoich rodziców było mocno naznaczone wojenną traumą.
Ojca losy generalnie znałem dobrze, bo napisał kilka biograficznych książek, które później zostały zebrane i wydane przez Iskry w postaci kompletnego tomu wspomnień. I tam są jego okupacyjne perypetie – łącznie z rocznym pobytem w Auschwitz. Natomiast losy mojej mamy były dla mnie niemal kompletnie nieznane. Dopiero z tych wspomnień dowiedziałem się, jaka była jej młodość. Kiedy wybuchła wojna, miała 13 lat, więc dojrzewała w najtrudniejszym czasie. Doświadczyła śmierci ojca, głodu, zimna, biedy, wstrząsających dla mnie rzeczy. Zapoznanie się z jej zapiskami było dla mnie szokiem.

Wojenna trauma twoich rodziców miała na ciebie wpływ?
Dzisiaj już wiadomo, że traumę rodziców dziedziczy się na różne sposoby. Przede wszystkim w genach. Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie. Całe moje pokolenie to ludzie, których rodzice przetrwali wojnę i wyszli z niej z przeżyciami, jakich nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Czyli dorosłość, która się w nich kształtowała, była napiętnowana doświadczeniem wojennym. Dziś powiedzielibyśmy, że byli dotknięci syndromem PTSD – tymczasem wtedy nie było najmniejszych szans, aby ktokolwiek im w tym pomógł. Byli pozostawieni sami sobie, a na dodatek musieli odbudowywać kraj, który dostał się pod sowiecką okupację. Kiedy pytałem się wielu osób z mojego pokolenia czy jako dzieci byli bici przez rodziców, w stu procentach słyszałem, że tak. Czyli nasi rodzice, nie dając sobie rady z własną traumą, krzywdzili nas w swej bezradności.

Poznałeś ojca mając osiem lat, a potem był on obecny w twoim życiu tylko okazjonalnie. To dlatego od dziecka byłeś swego rodzaju outsiderem?
Dzisiaj na sto procent zdiagnozowano by u mnie spektrum autyzmu. Zawsze czułem się źle psychicznie, zawsze byłem nieszczęśliwy. Od dziecka unikałem rówieśników, wolałem bawić się i czytać w domu, zamykałem się w swoim świecie. To w jakimś stopniu na pewno efekt tego, co moja mama przeżyła w ciąży ze mną. Głodowała, marzła, mieszkała w malutkim i nieogrzewanym pokoju, gdzie zimą włosy przymarzały jej do ściany. Nie lepiej było, kiedy przyszedłem na świat. Mieszkaliśmy w Laskach, kątem u obcych ludzi, nie mieliśmy węgla, bo mama nie dostała pozwolenia na jego zakup, ponieważ nie była nigdzie zameldowana. A nie była nigdzie zameldowana, bo uciekła od męża-alkoholika i musiała się tułać po różnych domach. Dlatego początkowo żyliśmy w tragicznych warunkach. Podczas mojej pierwszej zimy, mama suszyła pieluszki ciepłem swego ciała, a mleko podgrzewała nad światłem świecy.

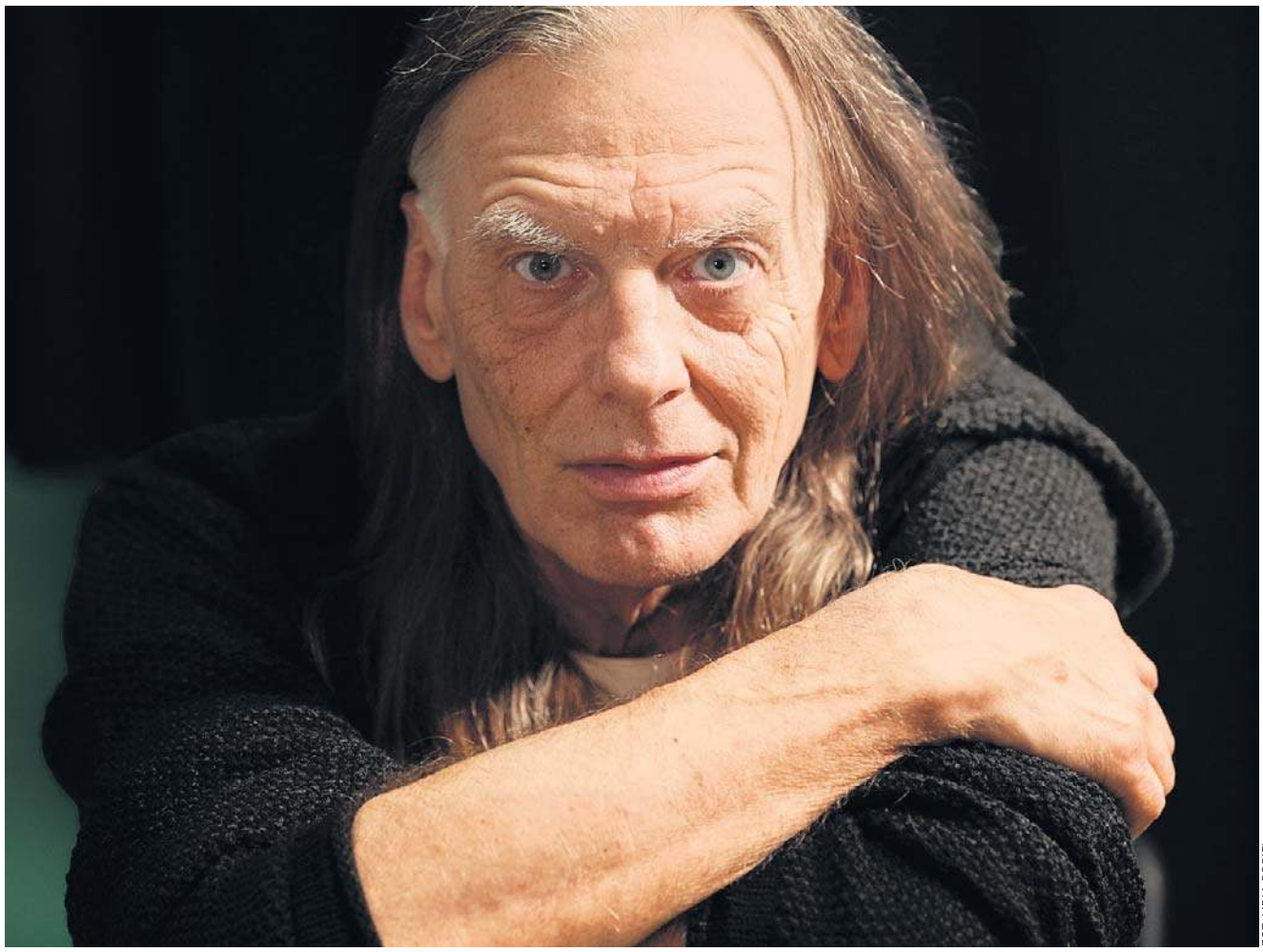
To tam widzisz źródło swej późniejszej depresji?
Także tam. Te wszystkie przeżycia wybiły we mnie, kiedy kończyłem 40 lat, jako nawrotowa i lekooporna depresja. Dowiedziałem się po latach, że choć mój ojciec pracował jako satyryk i był postrzegany powszechnie jako człowiek rozśmieszający innych, też miał ciężką depresję, którą ukrywał przed światem. Od lat próbuję prześwietlić i zrozumieć tę chorobę, żeby pomimo jej lekooporności, dawać sobie z nią radę. Kiedy po 2000 roku uderzyła ze zdwojoną siłą, przeszedłem przez prawdziwy koszmar. Gdyby nie wiedza, którą zaczerpnąłem z nauk buddyjskich, a mówiąca, że śmierć nie jest końcem i zadanie jej sobie z własnej ręki przynosi jeszcze większe cierpienia, to pewnie bym dzisiaj już nie żył. Teraz, napisawszy te dwie książki, w jakiś sposób uwolniłem się od ciężaru tego wszystkiego. Dzięki temu dzisiaj jestem w stanie całkowicie spokojnie o tym rozmawiać, choćby podczas spotkań autorskich – i to jest coś najcenniejszego, co z tego wyniosłem.

Jako syn Eryka Lipińskiego mogłeś zostać beneficjentem komunistycznego systemu – tymczasem ty od początku ustawiłeś się do niego w kontrze. Skąd wynikała ta przekora?
Tych oportunistów w moim pokoleniu nie było dużo. Ja za takich zdeklarowanych uważam środowisko Ordynackiej – czyli Kwaśniewskiego czy Czarzastego. To byli technokraci, którzy zdawali sobie sprawę, że koniec PRL-u jest bliski, ale póki on istnieje, to można go wykorzystać jako trampolinę do przyszłych karier. Ja nigdy nie myślałem o robieniu kariery, więc nie miałem takich motywacji. Co najważniejsze, mama bardzo się starała wychować mnie na przyzwoitego człowieka. I chyba trochę się jej udało. Elementarna uczciwość jest dla mnie szalenie ważna. Jako osoba neuroatypowa nie potrafię pewnych rzeczy: skutecznie kłamać czy cynicznie kierować się własnym interesem. Co ciekawe: my, pokolenie demograficznego wyżu, odbieraliśmy komunistyczny system jako obcy, nieprzyjazny i szkodliwy. Oczywiście od urodzenia byliśmy nauczeni składania mu pewnych danin – jak występ na szkolnej akademii z wierszem o Leninie. Ale odczuwaliśmy to jako opresję. Momentami była ona zresztą wręcz namacalna: będąc nastolatkiem, nie można było wieczorem przejść spokojnie ulicami Warszawy, nie będąc zatrzymywanym przez milicyjne patrole. Wchodząc więc w dorosłe życie, odczuwaliśmy PRL jako wrogi nam system.

Jak to się stało, że znalazłeś wyraz dla tych frustracji w rock and rollu?
W 1965 roku byłem na wakacjach u wujka w Pucku. Tam poszliśmy z kuzynkami na film z Beatlesami – „A Hard Day's Night". Wyszedłem z tego kina z poczuciem, że nagle moje życie ma sens. Wszystkie te czerwone flagi, pierwszomajowe akademie, ględzący Gomułka, przestało mieć znaczenie. Bo oto tu gdzieś na świecie pojawiła się nowa kultura: młodzi ludzie wyglądający inaczej i śpiewający inaczej. To była rewolucja. W latach 60. wydarzyło się coś, co ja w skrócie definiuję tak, że do tamtego momentu dzieci ubierano jak dorosłych, a od tamtego momentu dorośli zaczęli się ubierać jak dzieci. Potem pojawiły się środki antykoncepcyjne i magiczne substancje, jak LSD, co wywarło ogromny wpływ na cały ówczesny świat, na obyczajowość, na kulturę i sztukę. Ten skok cywilizacyjny okazał się tak ogromny, że był nie do zaakceptowania przez naszych rodziców. To automatycznie ustawiło moje pokolenie w opozycji do ich pokolenia.

Kiedy zacząłeś grać rocka?
Od chwili, kiedy obejrzałem „A Hard Day's Night", marzyłem, żeby założyć własny zespół. Chciałem się więc uczyć muzyki. Mama dała temu odpór, mówiąc: „Mieszkamy w 24-metrowym mieszkaniu i tu nie ma gdzie postawić stołu, a co dopiero pianina". Postanowiłem się więc uczyć sam. Do Europy zaczęła wtedy docierać muzyka z całego świata – z Indii, z Afryki czy z Karaibów. Najpierw nauczyłem się grać na harmonijce ustnej, a potem na instrumentach perkusyjnych. Dopiero w liceum sięgnąłem po gitarę. To była całkowicie samodzielna i intuicyjna wędrówka, niczym podróż w nieznaną galaktykę.

eprasa.pl d81d53de47



FOT. LIDIA POPIEL

Tomek Lipiński: Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie

W połowie lat 70. pojawił się punk, będący powrotem do prostoty rock and rolla z lat 60. To dlatego zrobił na tobie tak duże wrażenie i dał impuls do założenia Tiltu?
Rock był dla mojego pokolenia takim ówczesnym internetem. To z piosenek ulubionych zespołów dowiadywaliśmy się, jak nasi rówieśnicy na Zachodzie myślą, co mówią, jak się ubierają. I bardzo chcieliśmy być częścią tamtej kultury. Kiedy ktoś dostał płytę z Zachodu, spotykaliśmy się, by z nabożeństwem słuchać jej z wypiekami na twarzach. To był tak istotny element naszego życia, że bez niego bylibyśmy komsomolcami. Niestety: w pewnym momencie gwiazdy rocka dołączyły do świata milionerów i zaczęły tworzyć wydumane suity, oderwane od rzeczywistości. Moje skromne umiejętności gry na gitarze i śpiewania nie pozwalały mi robić czegoś podobnego. Podobnie odczuwało wielu innych młodych ludzi w tamtym czasie. I wtedy pojawiło się coś, co prasa amerykańska nazwała punkiem: wspaniałe zespoły, których umiejętności były podobne do moich, a tworzyły fantastyczne piosenki. Weźmy brytyjską grupę Wire i jej album „Pink Flag" z 1977 roku. Tam są tylko dwa akordy – a jest to jedna z najwspanialszych płyt w historii rocka. Kiedy to usłyszałem, ośmieliłem się tworzyć własne piosenki i założyć zespół. Oczywiście zgadzało się to pokoleniowo: Joe Strummer z The Clash był zaledwie dwa lata starszy ode mnie, a John Lydon z Sex Pistols o rok młodszy. Punk był pokazaniem środkowego palca tym wielkim gwiazdom rocka i robieniem nowej sztuki: muzyki, mody, grafiki, literatury.

Dla wielu fanów polskiego rocka jesteś przede wszystkim współtwórcą genialnych piosenek Brygady Kryzys. To był efekt twojej współpracy z nieżyjącym już dziś Robertem Brylewskim. Na czym polegała wyjątkowość waszej artystycznej relacji?
Na magii. Czasem się tak zdarza, że ludzie spotykają się i powstaje z tego jakaś dodatkowa jakość, która nie jest sumą ich osobnych twórczości, tylko czymś zupełnie nowym. I tak było w tym przypadku. Byliśmy jak dwugłowy, czteroręki i czteronogi potwór – komunikowaliśmy się niemal telepatycznie. To była nieprawdopodobna synchronizacja. Robert urodził się w 1961 roku, był więc 6 lat młodszy ode mnie. Kiedy zaczęliśmy grać w 1981 roku, miał zaledwie 20 lat, był więc właściwie dzieciakiem. Ja jako starszy, miałem w głowie trochę więcej muzyki, której on jeszcze nie zdążył usłyszeć, z kolei on miał w sobie młodzieńczą świeżość i bezczelność. To sprawiło, że dopasowaliśmy się do siebie jak dwa klocki lego.

Brygada Kryzys szła ja burza do przodu – i wszystko przeciął stan wojenny. Co by było, gdyby nie generał Jaruzelski?
Kto wie? Myślę, że stworzylibyśmy wtedy dużo więcej muzyki. Bo nawet mimo stanu wojennego, pisaliśmy kolejne piosenki, choć to wszystko traciło sens. Pierwsza płyta Brygady Kryzys była tak niesamowita w dużym stopniu dlatego, że zdecydowałem się zaangażować jazzowego perkusistę – Janka Rołta. Dzięki niemu, nasze piosenki nabrały swingowego rytmu. Polscy rockowi bębniarze wtedy nie umieli tak grać. Niestety: Janek był uzależniony od heroiny. Po nagraniu płyty gdzieś przepadł. Nie mieliśmy więc perkusisty i Brygada rozpadła się w tym pierwszym okresie. Kiedy po ponad pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego władze odblokowały kluby, zaangażowaliśmy punkowego bębniarza Gogo Szulca (czyli Tomka Kożuchowskiego) z grupy TZN Xenna i zagraliśmy cztery koncerty pod rząd w stołecznym klubie Riviera-Remont. To jednak już nie było to. Nie dało się więc kontynuować tego, co osiągnęliśmy na naszej płycie. Popatrzyliśmy wtedy na siebie z Robertem i powiedzieliśmy: „Może kiedyś".

Robert założył wówczas Izrael i zaczął grać reggae. Ciebie nie ciągnęło w tę stronę?
Kiedy rozpadła się Brygada Kryzys, wraz z Robertem, Jarkiem „Gruszką" Ptasińskim i Pawłem „Kelnerem" Rozwadowskim założyliśmy zespół Aurora, który miał grać eksperymentalną muzykę. Zamienialiśmy się instrumentami, improwizowaliśmy, wykorzystywaliśmy nagrania z taśm. Ale ponieważ w tym czasie „zaszedłem w ciążę" i czekałem na dziecko, moje myśli zaczęły krążyć wokół innych spraw. Przestałem więc przychodzić na próby. A oni wpadli na pomysł, że będą grali reggae i założyli Izrael. Mijaliśmy się jednak w klubie Hybrydy, bo oni mieli jedną kanciapę, a ja drugą. Przychodziłem tam od czasu do czasu i też zacząłem pisać piosenki reggae. Kiedy Izrael wyruszył w pierwszą trasę koncertową, występowałem tam z Tomkiem „Rastamanem" Szczecińskim jako Goście w Podróży. Nie byłem jednak rastafarianinem i nie chciałem być stałym członkiem Izraela. Pomyślałem więc, żeby wykonywać te piosenki na czadowo.

Reaktywowałeś wtedy Tilt, ale z czasem zwróciłeś się w stronę nowofalowego popu. Nabrałeś apetytu na komercyjny sukces?
Tak to wygląda, ale przyczyna była zupełnie inna. Kiedy reaktywowałem Tilt w 1983 roku z Gogo Szulcem na perkusji i freejazzowym saksofonistą Alkiem Koreckim, graliśmy czadowe piosenki w możliwie jak najszybszych tempach. Na nasz koncert w klubie Medyk przyszli bardzo młodzi adepci punka, wystylizowani na wzór zdjęć z zachodniej prasy, w glanach, w naćwiekowanych skórach, z irokezami na głowach. Za ich sprawą wydarzyło się kilka ekscesów: ktoś kogoś pobił, ktoś kogoś okradł, było sępienie na bełty. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Obawiałem się, że jak się to do mnie przyklei, to się potem nie odklei. Znałem historię brytyjskiej kapeli Sham 69, na koncerty której zaczęli przychodzić skinheadzi-naziści, od których potem zespół nie mógł się nijak uwolnić. Dlatego zdecydowałem, że pójdę inną drogą i będę robił zupełnie inną muzykę, dla szerszej publiczności.

Takie piosenki Tiltu, jak „Runął już ostatni mur", „Mówię ci że", „Rzeka miłości" czy „Jeszcze będzie przepięknie" stały się przebojami. Nie poszedłeś jednak za ciosem.
Kiedy nagraliśmy materiał na debiutancki album Tiltu, nagle wycofał się nam wydawca. Naszemu menedżerowi Piotrowi Nagłowskiemu zajęło dwa lata znalezienie nowego. Gdy Tonpress wreszcie wydał naszą płytę, zespół już nie istniał. Spotkałem wtedy perkusistę Jarka Szlagowskiego, z którym wpadliśmy na pomysł założenia nowej grupy. Zaangażowaliśmy basistę Marcina Ciempiela i powołaliśmy do życia Fotoness. To był zespół z trzema liderami – i nie skończyło się to dla niego dobrze. Rafał Paczkowski, producent muzyczny płyty, tak bardzo się z nią utożsamił, że dograł do naszych piosenek mnóstwo klawiszy. W efekcie efekt końcowy zupełnie nie przypominał pierwotnego projektu.

Po upadku komuny w 1989 roku otworzyły się możliwości budowania kariery na nowych zasadach, tymczasem ty zacząłeś inną pracę: najpierw w dużym koncernie płytowym, potem w radiu i prasie. Dlaczego nie postawiłeś zdecydowanie i jednoznacznie na tworzenie muzyki?
Miałem dwoje małych dzieci. W 1990 roku rynek koncertowy zamarł. Zostaliśmy więc wszyscy bez dochodu. Musiałem utrzymać rodzinę, zająłem więc czymś innym. Pracowałem krótko w pubie, pisałem wraz z Piotrem Nagłowskim raporty marketingowe dla Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego, a kiedy Piotr został szefem polskiego oddziału BMG Ariola, zaproponował mi stanowisko swego zastępcy. Byłem wtedy pełen wiary w wolny rynek i kapitalizm, ale szybko się rozczarowałem.

Dlaczego?
Do moich zadań należało między innymi szukanie polskich artystów, których płyty moglibyśmy wydawać. Od Macieja Pilarczyka dostałem kasetę VHS z występem telewizyjnym grupy Varius Manx, do którego dołączyła właśnie Anita Lipnicka. Uznałem, że ma to ogromny potencjał i zaproponowałem szefom z Monachium wydanie ich płyty. Niestety: Niemcy zareagowali twardym „Nein!". Argumentowali, że wcześniej Varius Manx wydał już dwa albumy i nie odniosły one sukcesu. Nie byli w stanie zrozumieć, że z Anitą to inny zespół i inna muzyka. Było dla mnie tak wielkim rozczarowaniem, że ostatecznie zrezygnowałem z bycia biznesmenem i nagrałem dosyć dziwną, solową płytę – „Nie pytaj mnie".

Twoi koledzy z post-punkowej sceny lat 80., jak Kazik Staszewski czy Muniek Staszczyk, odnieśli w nowej Polsce duży sukces. Ty nie przegapiłeś swojej szansy?
Kazik miał dwa świetne strzały: najpierw rapową płytę „Spalam się", a potem album z piosenkami swego ojca – „Tata Kazika". Z kolei Muniek z T.Love nakręcił genialny teledysk do świetnej piosenki „Chłopaki nie płaczą", który był grany w telewizji na okrągło. A ja najpierw koncentrowałem się na wychowaniu moich dwóch córek, a potem dopadła mnie depresja.

W ostatnich latach właściwie wygasiłeś swą działalność koncertową i nagraniową. Dlaczego?
Miałem świetny zespół, ale coraz trudniej było z graniem koncertów. Lokalni organizatorzy, wywodzący się z młodszych pokoleń, często nie wiedzieli, kim jestem. Wypadłem więc z obiegu koncertowego. Coraz mniej też pisałem nowych piosenek. Pod koniec roku 2024 miałem wypadek na rowerze, po którym musiałem uczyć się chodzić na nowo i którego konsekwencje wciąż odczuwam. Bardzo mnie to zmieniło. Mogę powiedzieć, że właściwie stałem się innym człowiekiem. Okazało się, że mam wokół wspaniałą rodzinę i przyjaciół, którzy otoczyli mnie serdeczną opieką i wspierali w najtrudniejszych chwilach. To cenniejsze od wszystkich zawodowych sukcesów.

Jak zatem widzisz swoją przyszłość?
Nie rozstałem się z muzyką do końca. Gitary leżą pod ręką i nie narzekają na brak dźwięków. W Trójmieście jest wielu wspaniałych muzyków, którzy namawiają mnie na wspólne granie. Na razie zupełnie nie wiem co by to miało być.
Na pewno nie chcę odcinać kuponów od tego, co do tej pory zrobiłem, bo już mnie to nudzi, choć wiem, że tak całkiem tego nie uniknę. Nie chcę jednak być zakładnikiem swojej przeszłości. Czas pokaże.

eprasa.pl d81d53de47

Polska
Piątek–niedziela, 3–5.07.2026

„CZARNE CHMURY". Z SZABLĄ I HONOREM

Tego jeszcze w historii nadwiślańskiej telewizji nie było – pierwszy rodzimy serial spod znaku płaszcza i szpady, w dodatku barwny, wypełniony pojedynkami, brawurowymi ucieczkami, realistycznymi scenami walki i z wątkiem miłosnym na deser. W tym roku mijają 53 lata od premiery „Czarnych chmur"

Wojciech Obremski



FOT. CC

„Czarne chmury" wyróżniały się wizualnie na tle innych produkcji tamtych lat, zwłaszcza pod względem barw

Fabułę serialu umiejscowiono w drugiej połowie XVII wieku, a jej osią są dramatyczne walki o utrzymanie przy Rzeczypospolitej Prus Książęcych. Pierwowzorem głównego bohatera, czyli pułkownika Krzysztofa Dowgirda, będącego posiadaczem wszelkich cnót wynikających z patriotyzmu i szlacheckiego honoru, był niejaki Krystian Ludwik Kalkstein-Stoliński – również pułkownik, urodzony jako poddany pruskiego elektora. Także wachmistrz Kacper Pilch, wierny sługa Dowgirda, miał swój historyczny odpowiednik – był nim giermek wspomnianego Kalksteina o imieniu Pilz, który wielokrotnie wyciągał swojego pana z tarapatów. Kalkstein został w Prusach oskarżony o zdradę, uciekł więc, z pomocą Pilza, do Warszawy (niczym Dowgird z Kacprem), gdzie podburzał przeciw elektorowi szlachtę, a nawet dotarł do hetmana Jana Sobieskiego i króla.

Różnie jednak kończą się przygody Dowgirda i Kalksteina – pierwszy szczęśliwie realizuje swoje zadanie, a wątek miłosny z Anną Ostrowską (w tej roli Elżbieta Starostecka) dodaje całej historii romantycznej oprawy. Kalkstein-Stoliński został zaś zdradzony, porwany przez pruskich agentów i ścięty w Kłajpedzie w 1672 roku.

Zdrajca autorem scenariusza?

Owe losy rzeczywiście aż prosiły się o przeniesienie na ekran. Powstał więc scenariusz, tu i ówdzie naginający prawdę historyczną – „ku pokrzepieniu serc", niczym w sienkiewiczowskim „Potopie". Nie to jednak jest w nim godne uwagi, ale fakt, że… nie do końca wiadomo, kto jest jego autorem. Wprawdzie pod tekstem podpisali się Ryszard Pietruski (odtwórca roli Kacpra) i Antoni Guziński (szef… działu rolnego w jednym z tygodników), to pojawiły się głosy, że scenopis do „Czarnych chmur" napisał Ludwik Kalkstein, rzekomy potomek XVII-wiecznego pułkownika.

Niestety, tak się złożyło, że był on zdrajcą, który podczas II wojny światowej zhańbił się współpracą z Gestapo (był m.in. współodpowiedzialny za aresztowanie generała Stefana „Grota" Roweckiego). A gdy po wojnie odsiedział wyrok za kolaborację, zaczął pracować dla Służby Bezpieczeństwa. W dodatku, jak głosi wieść, Kalkstein próbował sprzedać scenariusz oparty na losach swojego przodka, by w ten sposób oczyścić swoje rodowe nazwisko.

Ostateczne wątpliwości rozwiał pewnego razu reżyser „Czarnych chmur", czyli Andrzej Konic. – To Kalkstein pisał scenariusz „Czarnych chmur", Rysio Pietruski tylko to za niego podpisał. Zdradzę panu pewną tajemnicę. Nazwisko głównego bohatera musiałem zmienić na pięć dni przed rozpoczęciem zdjęć. W scenariuszu był Kalkstein. To wtedy by nie przeszło. „Dowgird" było krótko i nieźle brzmiało – mówił reżyser na antenie Telewizji Polskiej.

„My »Potop« robimy, a wy jakiś serialik kręcicie…"

W pułkownika Dowgirda wcielił się Leonard Pietraszak, dla którego była to pierwsza znacząca rola filmowa. – Propozycja zagrania w serialu przygodowym była dla mnie ogromną niespodzianką. Zbliżałem się do czterdziestki i powtarzałem kolegom, że jestem już w wieku, w którym powinienem zacząć się starzeć! A tu dostaję propozycję zagrania pułkownika, mam jeździć konno, fechtować. Półroczny obóz szkoleniowy bardzo mi się przydał. Uprawiałem szermierkę, uczyłem się jeździć konno. Kocham konie, ale do dziś nie akceptuję jeździectwa. Tego, że to piękne, mądre zwierzę musi dźwigać człowieka. W sekcji jeździeckiej Legii trenował nas wspaniały przedwojenny oficer, major Farenstein. Wiele nas nauczył, chociaż ciągle powtarzał: „Ja was nie nauczę w tak krótkim czasie jeździć, ale nauczę was, jak dobrze wyglądać na koniu!". W tym samym czasie kręcony był „Potop", więc mijaliśmy się tam z Tadeuszem Łomnickim, Danielem Olbrychskim i innymi. Spotykaliśmy ich też potem w hotelach, kiedy już rozpoczęliśmy zdjęcia. My kręciliśmy w Krakowie, oni pod miastem. Patrzyli na nas, śmiejąc się: „My to »Potop« Hoffmana robimy, co tam wy, serialik jakiś…". A jednak te „Chmury" do dziś chodzą w telewizji i podobają się kolejnym pokoleniom" – wspominał aktor w książce Katarzyny Madey „Leonard Pietraszak. Ucho od śledzia".

Choć dziś trudno wyobrazić sobie w roli Dowgirda kogoś innego niż Leonard Pietraszak, to początkowo głównym bohaterem miał być Stanisław Jasiukiewicz, znany m.in. jako ojciec Janka Kosa w „Czterech pancernych i psie" czy wielki mistrz Ulrich von Jungingen w „Krzyżakach". Niestety, aktor poważnie zachorował, a następnie zmarł pół roku przed premierą pierwszego odcinka „Czarnych chmur". W Andrzeja, kuzyna starościanki Anny, miał wcielić się Jerzy Zelnik (zamiast Jerzego Matałowskiego), a nieustannie wstawionym szlachcicem Błazowskim (tym od słynnej kwestii: „On mi wilcze doły, a ja go bukłaczkiem!") miał być nie Cezary Julski, a Bronisław Pawlik. Na ekranie przewijają się także m.in.: Jerzy Nowak, Karol Strasburger, Józef Nalberczak, Mariusz Dmochowski, Tadeusz Pluciński, Emil Karewicz czy Jerzy Turek. Zaś głos narratora należał do Piotra Fronczewskiego. – Największymi atutami tej produkcji są niezwykła dbałość jej twórców o realia historyczne, wspaniałe kostiumy i fakt, że nawet w najmniejszych epizodach zagrali znakomici aktorzy – podkreślał Leonard Pietraszak.

Tańcząca Janda, uzbrojony Linda

Co ciekawe, w serialu widzimy w epizodycznych rolach Krystynę Jandę i Bogusława Lindę, którzy już wkrótce mieli zrobić filmową karierę. Janda wystąpiła w jednym z odcinków jako dziewczyna na weselu. – Byłam wtedy na pierwszym roku w szkole teatralnej. Spędzaliśmy wakacje w Augustowie na jakimś obozie. I cały nasz rok wzięli do filmu. To było przedłużenie zabawy, a przy okazji dorobiliśmy sobie – wspomina aktorka. Z kolei Linda zagrał… halabardnika strzegącego Barbakanu. – Fantastyczna rola. Zero odpowiedzialności. Można pokazać rodzinie. Tu, w lewym rogu jestem ja – opowiadał aktor po latach.

W ścigającego Dowgirda i Kacpra oficera pruskich rajtarów, czyli kapitana Knothe'a, wcielił się Maciej Rayzacher, który do swojej roli przygotowywał się kilka miesięcy, ćwicząc jazdę konną w wojskowej stadninie. I, jak okazało się później, fakt ten bardzo mu się przydał, bo po internowaniu go przez władze podczas stanu wojennego musiał zmienić zawód. – Gdy władze zadbały o to, żebym nie pracował jako aktor, zostałem wychowawcą w domu małego dziecka i zajmowałem się dziećmi autystycznymi i niewidomymi. Dzięki „Czarnym chmurom" mogłem prowadzić zajęcia z hipoterapii. I właśnie wtedy – a nie w czasie kręcenia serialu – po raz pierwszy spadłem z konia – opowiadał Rayzacher.

XVII-wieczną stolicę zagrała w serialu lubelska starówka. Sceny klasztorne nakręcono w klasztorze kamedułów w Rytwianach, zaś w Puszczy Augustowskiej można zobaczyć Mostek Dowgirda – to tutaj bohater ukrywał się przed pościgiem, zanurzony po szyję w wodzie.

Przy pracy nad serialem wykorzystano nowoczesne, jak na ówczesne warunki, techniki. Użyto drogiej, kolorowej taśmy Eastman Kodak, dzięki czemu „Czarne chmury" wyróżniały się wizualnie na tle innych produkcji tamtych lat, zwłaszcza pod względem nasyconych barw. Na uwagę zasługuje też muzyka, z wpadającym w ucho tematem z czołówki na czele, skomponowana przez Waldemara Kazaneckiego.

W 2013 roku, z okazji 40-lecia serialu, grający w nim aktorzy spotkali się w Rytwianach, gdzie powstały dwa pierwsze odcinki i gdzie we wspomnianym klasztorze można zwiedzać muzeum poświęcone „Czarnym chmurom". Przybyli Leonard Pietraszak i Ryszard Pietruski, nie zabrakło Elżbiety Starosteckiej i Anny Seniuk.

Pierwszy z dziesięciu odcinków „Czarnych chmur" pokazano w 1973 r., dzień przed Wigilią. Serial z miejsca skradł serca widzów w każdym wieku.

– Po emisji dostałem mnóstwo listów od matek, dziękujących mi, że ich dzieci pod wpływem serialu zmieniły się na lepsze. Wszyscy chłopcy chcieli być tacy jak Krzysztof – wspominał Pietraszak, co tylko dowodzi, że serial spełnił swoją rozrywkową, ale i edukacyjną misję.

eprasa.pl d81d53de47



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Jak Mieroszewski kształtował relacje współczesne Polski i Ukrainy

Zacząłem tę książkę czytać, gdy wybuchł orderowy spór między Ukrainą i Polską o „bohaterów UPA". Choć od dawna było czuć po stronie Kijowa ciepłe emocje wokół Bandery, to do tej pory otwartych konfliktów na tym polu udawało się uniknąć. Aż do teraz. W piątym roku wojny ukraińsko-rosyjskiej nagle Polska musi tłumaczyć, że banderyzm to nie jest dobry pomysł na szukanie porozumienia między Kijowem i Warszawą. Co gorsza, Kijów nie za bardzo chce te argumenty przyjmować do wiadomości. Kryzys, jakiego jeszcze nie było.

Nie było, bo nigdy tak ostro kwestia nacjonalizmu ukraińskiego w naszych relacjach nie wybrzmiała. Ale też nie za bardzo kiedy miała wybrzmieć. Ukraina jako państwo w pełni niezależne zaczęła istnieć dopiero w 1991 r. Długo tkwiła w rozwoju zależnym od Rosji, własną podmiotowość akcentuje mniej więcej od Pomarańczowej Rewolucji z 2004 r. Nie za bardzo kiedy było na poważnie rozmawiać o tak drażliwych kwestiach. A takie dyskusje zawsze trwają. Właśnie ten proces się rozpoczął – może przynajmniej taki promyk nadziei w tym ponurym w sumie temacie.

Natomiast wracając do książki. Rymuje się ona z tymi wszystkim zdarzeniami z ostatnich kilkunastu dni w ten sposób, że pokazuje jej kontekst. Bo kwestia podmiotowości Ukrainy w praktycznym, politycznym tych słów znaczeniu zaczęła być ustalana dopiero w tym wieku. Ale teoretyczna debata o jej znaczeniu, o potrzebie jej wzmocnienia zaczęła się kilkadziesiąt lat temu. A jej prekursorem był m.in. Juliusz Mieroszewski.

Książka Macieja Łuczaka to jego biografia. To historia jego długiego, 70-letniego życia, ale przede wszystkim opowieść o tym, w jaki sposób Polska myślała (i jak to myślenie ewoluowało) o wielkiej spuściźnie, jakie pozostawiła po sobie Rzeczpospolita.

Mieroszewski był, obok Jerzego Giedroycia, jednym z liderów środowiska paryskiej „Kultury". I człowiekiem o wyrazistych poglądach. W swojej publicystyce jasno podkreślał, że Polska – by naprawdę realnie myśleć o własnej niezależności – musi też działać w kierunku niepodległości Ukrainy, Białorusi, Litwy, będących wtedy częścią ZSRR. Ale – to ciąg dalszy koncepcji Mieroszewskiego – o tych państwach nie należy myśleć w kategoriach przedrozbiorowych, tylko jako suwerennych, niepodległych, podmiotowych krajach. Właśnie teraz to obserwujemy. Najlepiej to pokazuje, jak dalekosiężnie Mieroszewski umiał myśleć.

Maciej Łuczak „Pragmatyczny wizjoner. Rzecz o Juliuszu Mieroszewskim", wyd. Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2026, cena 40 zł



Czy na odsetkach da się zarobić

Lichwę potępiano w Biblii. Czy zawsze zarabianie na odsetkach było źle postrzegane? Autor opisuje dzieje procenta od zysków jako premię od czasu.

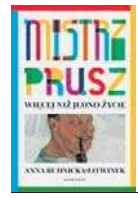
Edward Chancellor „Cena czasu. Prawdziwa historia odsetek", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 109,99 zł



Trudne decyzje wybitnego grafika

Kazimierz Mann był wybitnym grafikiem, ale też postacią kontrowersyjną – w czasie wojny publikował m.in. w niemieckich gazetach, po wojnie skazano go za kolaborację. Tu poznajemy jego prace.

Anna Lebensztejn „Kazimierz Mann", wyd. Bosz, Lesko 2026, cena 139,90 zł



Żywot człowieka niekonwencjonalnego

Opowieść o Tadeuszu Pruszkowskim, artyście i publicyście, którego uważa się za współtwórcę nowoczesnego oblicza Kazimierza Dolnego.

Anna Rudnicka-Litwinek „Mistrz Prusz. Więcej niż jedno życie", wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 89,99 zł



Skłodowska-Curie. Prekursorka feminizmu

Najnowsza biografia Skłodowskiej-Curie. Autorka przedstawia ją nie jako ikonę nauki, ale także – a może przede wszystkim – jako ikonę feminizmu.

Angelika Kuźniak „Skłodowska-Curie. Rebeliantka", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 79,90 zł



Specyfika życia mafii widziana od kuchni

Autor słynnej „Gomorry" powraca do tematu włoskiej mafii. W tej książce z reporterską precyzją opisuje specyfikę jej codzienności. Dużo w tym przemocy, seksu, hazardu.

Roberto Saviano „Należymy do siebie", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 54,90 zł



Klimat niczym z „Wściekłych psów"

Roberto Bolano to najbardziej znany współczesny pisarz z Chile. Ta książka to jego opus magnum. Dwutomowa powieść pełna latynoskiej brutalności przemieszczanej z literacką wrażliwością.

Roberto Bolano „2666", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 119 zł



Cena sławy, jaką zapłaciła Britney

Autor tej książki to dziennikarz, który karierze Britney Spears przyglądał się z bliska od czasu „...Baby One More Time". Teraz dzieli się tym, co zobaczył.

Jeff Weiss „Czekając na Britney Spears. Podobno prawdziwa historia", wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 65 zł



Przechodząc z jednego świata do drugiego

Dylemat: co czuje młoda Żydówka, przechodząc na katolicyzm? Takie wybory w Polsce przedwojennej były częste.

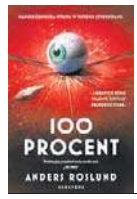
Karen Auerbach „Nocny motyl. Katolicka kobieta i jej żydowska rodzina w Warszawie na przełomie XIX i XX wieku", wyd. Osnova, Warszawa 2026, cena 89 zł



Walka o Gotham City ciągle trwa

Ciąg dalszy sagi „Ziemia niczyja". Batman – po roku spokoju – znów musi walczyć o ocalenie Gotham City.

Greg Rucka, Ed Brubaker, Chuck Dixon, Shawn Martinbrough, Steve Mitchell „Batman. Nowe Gotham", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 199,99 zł



100% mroku ze Skandynawii

„Człowiek całe życie czeka na śmierć, a kiedy ona przychodzi, ta chwila trwa bardzo krótko" – próbka stylu pisarskiego autora tego mrocznego kryminału. 100 proc. skandynawskiego mroku.

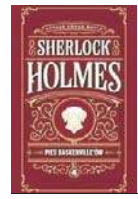
Anders Roslund „100 procent", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,99 zł



Jak przetrwać w uniwersum przemocy

To niezupełnie książka. Stanowi ona element gry fabularnej, którą tworzy tajemniczy Zogarth. Zaprasza nas do uniwersum pełnego przemocy i pierwotnych atawizmów. Miejsca, gdzie nie każdy przetrwa.

Zogarth „Primal Hunter", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 79,99 zł



Fundament mitu Sherlocka Holmesa

Wznowienie powieści Conan Doyle'a. „Pies Baskerville`ów" wylał fundament pod nieśmiertelny mit Holmesa. Jeśli ktoś chce go zrozumieć, powinien zacząć od tej powieści.

Artur Conan Doyle „Sherlock Holmes. Pies Baskerville`ów", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 49,99 zł



Jak szybko i smacznie ugotować w domu

Książka kulinarna znanego blogera. Ponad 1000 najróżniejszych przepisów, które łączy jedno: można je łatwo przygotować w domu. Sporo eksperymentów, ale też nie brakuje sprawdzonych klasyków.

Bartosz Kopica „Zróbcie se... bo petarda", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł



Dzieci nie gęsi i swoje kryminały mają

Skoro cały świat kocha czytać kryminały, to dlaczego nie mogą tego robić dzieci? Autorka tej serii wyszła z tego założenia i stworzyła serię o detektywie Wiewiórze. W tym tomie szuka on pawia.

Agnieszka Stelmaszyk „Detektyw Alfred Wiewiór i bezcenny paw", wyd. Wilga, Warszawa 2026, cena 29,99 zł



Co boli grabki, wiaderko i łopatkę?

Furorę zrobiły książeczki o życiu własnym skarpetek, które giną w praniu. Tutaj z kolei główne role grają zabawki, które ktoś zapomniał zabrać z piaskownicy. Bo okazuje się, że grabki, wiaderki i łopatka tęsknią za swoimi właścicielami.

Katarzyna Kazimierowska „Grabki", wyd. Widnokrąg, Piaseczno 2026, cena 48 zł



Samuraj kontra żołnierze yakuzy

Komiksowa historia samuraja Takeo, który krąży po średniowiecznej Japonii. Szukając brata, wpada na członków yakuzy wymuszających haracze. Takeo nie umie przejść obok tego obojętnie.

Di Jean-François Giorgio, Frédéric Genet „Samuraj", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 119,99 zł

eprasa.pl d81d53de47

CZAS WOLNY W RAMACH PROJEKTU KRYPA FLASH BĘDZIE MOŻNA OGLĄDAĆ DZIEWIĘĆ TRADYCYJNYCH ŁODZI

Nowa wakacyjna atrakcja będzie przyciągać tłumy nad Wisłę

Mateusz Bagieński
Warszawa

5 lipca zadebiutuje nowe widowisko, które ma na stałe wpisać się w wakacyjny program wydarzeń nad rzeką. Pokazy będą odbywać się przez całe wakacje w każdą niedzielę.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Manewry Tradycyjnych Łodzi Wiślanych. Od najbliższej niedzieli o godzinie 17.01 będzie można je oglądać co tydzień w okolicach Mostu Świętokrzyskiego

Dzielnica Wisła poszerza wakacyjną ofertę wydarzeń organizowanych nad rzeką. Już w niedzielę, 5 lipca odbędzie się premierowy pokaz nowego widowiska wodnego pod nazwą Krypa Flash. Organizatorzy zapowiadają, że będzie to stały element letniego programu, a kolejne pokazy będzie można oglądać w każdą niedzielę o godzinie 17.01.

Nowa propozycja skierowana jest zarówno do mieszkańców spędzających wakacje w mieście, jak i turystów odwiedzających Warszawę. Widowiska będą odbywać się na śródmiejskim odcinku Wisły, w przestrzeni Dzielnicy Wisła, skąd będzie można obserwować pokazy z bulwarów.

Za projektem stoi flota Krypa.pl, składająca się z dziewięciu tradycyjnych łodzi wiślanych nawiązujących do historycznych jednostek pływających po Wiśle. W ubiegłym sezonie przewiozły one ponad 40 tysięcy pasażerów z wielu krajów świata i zdążyły już stać się charakterystycznym elementem warszawskiego krajobrazu.

Łodzie wypływają z Barki Marina Warszawa i wykorzystywane są nie tylko do rejsów turystycznych, ale także podczas różnego rodzaju wydarzeń i spotkań.

- 2 maja w Dzień Flagi Rzeczypospolitej odbyły się Manewry Łodzi Wiślanych pod biało-czerwoną. Zgromadziły setki obserwujących, którzy gromkimi oklaskami docenili pomysł na wodny pokaz umiejętności nawigacyjnych - mówi Jan Piotrowski, pełnomocnik prezydenta m.st. Warszawy ds. Wisły.

Skąd wziął się pomysł? - Krypa Flash jest kontynuacją tego projektu w stałej formule dostępnej dla turystów i mieszkańców spędzający letnie popołudnia nad Wisłą. Specjalnie na potrzeby wakacyjnych pokazów załogi przygotowały układy figur, szyki oraz wodne choreografie, które będzie można obserwować bezpośrednio z bulwarowych schodków w okolicach Centrum Nauki Kopernik, mostu Świętokrzyskiego lub pokładu barki Marina Warszawa zacumowanej na wysokości Pawilonu Tańca - opowiada Jan Piotrowski.

Premierowy pokaz zaplanowano na 5 lipca, jednak organizatorzy od razu zapowiadają, że wydarzenie będzie miało charakter cykliczny. Przez całe wakacje widowiska będą odbywały się w każdą niedzielę o godzinie 17.01. Doświadczeni sternicy poprowadzą tradycyjne łodzie w rytm muzyki, prezentując przygotowane specjalnie na tę okazję układy i manewry.

Nowe pokazy dołączają do bogatej oferty atrakcji organizowanych w Dzielnicy Wisła. Rejsy, kajaki, wydarzenia plenerowe i aktywności sportowe od kilku lat przyciągają nad rzekę mieszkańców oraz turystów, a Krypa Flash ma być kolejnym elementem letniego programu, przypominającym jednocześnie o wielowiekowej tradycji żeglugi na Wiśle.

Krypa Flash nie będzie jedyną wakacyjną atrakcją regularnie powracającą w weekendy. Równolegle startuje letni cykl Koncertów Chopinowskich w Łazienkach Królewskich. Pierwszy koncert już w najbliższą niedzielę obok pomnika Chopina. O godz. 12 i o godz. 16 będzie można posłuchać młodego pianisty Pawła Pieczki oraz fragmentów poezji Leopolda Staffa recytowanych przez aktora Krzysztofa Gosztyły.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

INNE

ANTYK krajalnice Kupię 576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

ZATRUDNIĘ kierowców C+E w transporcie międzynarodowym System 2/1, 12/3 dni
Wynagrodzenie pakiet mobilności- 510 zł doba
ZUS płacony od 9420 zł
Nowa flota pojazdów, naczepy izotermy
tel. 731 091 399

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Pobyty lecznicze oraz wypoczynkowe w atrakcyjnych cenach. Zadzwoń już dziś: 41/378-19-48 www.sanato.com.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1050zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA- pokoje z łazienk., 606-687-996.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →



eprasa.pl d81d53de47

Wybawca Kane, wątpliwy karny Belgii i spokojny awans USA

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Anglia i Belgia odwróciły wynik w meczach z drużynami z Afryki i awansowały do 1/8 finału mistrzostw świata. USA w „dziesiątkę" poradziły sobie z Bośnią i Hercegowiną.**

Reprezentacja Anglii strasznie męczyła się z drużyną Demokratycznej Republiki Konga. W 7. minucie niespodziewanie pomocnik Bryan Sipenga dał drużynie DR Kongo prowadzenie strzałem z bliskiej odległości. Zespół „Trzech Lwów" przez niemal 70 minut nie mógł znaleźć sposobu na wyrównanie. Dopiero w 75. minucie napastnik reprezentacji Anglii Harry Kane wziął sprawy w swoje ręce i uderzeniem głową doprowadził do stanu 1:1. A w 86. minucie otoczony przez trzech obrońców, uciekł wszystkim, poprawił swoją pozycję i strzałem z dystansu w okienko zapewnił Anglii zwycięstwo 2:1.

Kane zdobył już na obecnym mundialu 5 bramek, a 13 razy trafiał do siatki w historii mistrzostw świata, co pozwoliło mu wyprzedzić Pelego z 12 golami i usadowić się na 7. miejscu w klasyfikacji strzelców mundiali (prowadzi Argentyńczyk Lionel Messi z 19 bramkami przed Francuzem Kylianem Mbappe z 18 golami i Niemcem Miroslavem Klose z 16 trafieniami).

Harry został pierwszym piłkarzem w historii reprezentacji Anglii, który strzelił dwa gole po 75 minutach regulaminowego czasu gry w meczu na mistrzostwach świata.

Kane strzelił też 84 w reprezentacji Anglii, czym zrównał się z Ferencem Puscasem pod względem liczby goli w drużynie narodowej i razem ze słynnym Węgrem zajmuje 9. miejsce w klasyfikacji reprezentacyjnych strzelców wszech czasów, w której prowadzi Portugalczyk Cristiano Ronaldo – 145 goli przed Leo Messim – 123 gole i Irańczykiem Ali Daei – 109 goli (Robert Lewandowski z 89 bramkami jest siódmy w tym zestawieniu).



FOT. EPA/PAP

Kapitan reprezentacji Anglii Harry Kane wybawił zespół „Trzech Lwów" z opresji w meczu 1/16 finału z DR Konga

– Szczerze mówiąc, to uczucie jest po prostu niesamowite. Co za szalony mecz! To bardzo uparta drużyna, ale po pierwszej przerwie na drinka graliśmy znacznie lepiej, chociaż ich bramkarz popisał się kilkoma niesamowitymi obronami. Rozmawialiśmy o tym, że nadchodzi czas, aby ktoś coś zrobił, i że każdy może być bohaterem. Dziś ja zostałem tym bohaterem – skomentował swój występ Kane.

Anglia zagra z Meksykiem w 1/8 finału w poniedziałek, 6 lipca, o godzinie 2.00 czasu środkowoeuropejskiego.

Reprezentacja Belgii uniknęła porażki w regulaminowym czasie gry z Senegalem, przegrywając 0:2 do 85. minuty. Bramki Romelu Lukaku i Youriego Tielemansa doprowadziły do dogrywki, w której „Czerwone Diabły" strzeliły trzeciego gola z kontrowersyjnego rzutu karnego. Sędzia Said Martinez z Hondurasu, mimo interwencji VAR, podyktował rzut karny po faulu Lamine Camary na Tielemansa, mimo że podcięcie nastąpiło poza „szesnastką". Sam poszkodowany zamienił „jedenastkę" na zwycięską bramkę, dającą awans do 1/8 finału.

Gol Tielemansa w 120+5 minucie z rzutu karnego (124 minuta i 43 sekunda) okazał się najpóźniej strzelonym w historii mistrzostw świata. Wcześniej takim osiągnięciem szczycił się Algierczyk Abdelmoumene Djabou, który zdobył bramkę w 120. minucie i 49. sekundzie w 1/8 finału z Niemcami (1:2) w 2014 roku.

Reprezentacja Stanów Zjednoczonych pokonała Bośnię i Hercegowinę 2:0. W ostatniej minucie pierwszej połowy Amerykanom udało się zamienić przewagę na bramkę Folarina Baloguna, który skierował odbitą piłkę od obrońców między nogami bramkarza Nikoli Vasilja. To trzeci gol amerykańskiego napastnika na mundialu 2026 roku na swojej ojczystej ziemi.

W 64. minucie Balogun sfaulował środkowego obrońcę Tarika Muharemovicia, za co ujrzał czerwoną kartkę i choć „Jankesi" przez pół godziny grali w osłabieniu, udało im się zdobyć drugą bramkę – Malik Tillman z rzutu wolnego.

Na pocieszenie gości – bośniacki napastnik Edin Dżeko zapisał się w historii – mając 40 lat i 106 dni został pierwszym zawodnikiem z pola w wieku 40 lat lub starszym, który zagrał w fazie pucharowej mundialu.

Reprezentacja USA po raz czwarty w historii pokonała drużynę z Europy na mistrzostwach świata. Tym razem wydarzyło się to w meczu 1/16 finału z Belgią. Wcześniej w 1930 roku zwyciężyła 3:0 Belgię, w 1950 roku 1:0 Anglię i w 2002 roku 3:2 Portugalię.

Tym samym wszystkie trzy drużyny będące gospodarzami mistrzostw świata – USA, Kanada i Meksyk awansowały do 1/8 finału turnieju.©℗

Rzucił klątwę na Messiego i Argentynę. Czy dojdzie do największej sensacji XXI?

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Kończymy 1/16 finału MŚ 2026. W nocy z piątku na sobotę ostatnie mecze tej rundy w fazie pucharowej.**

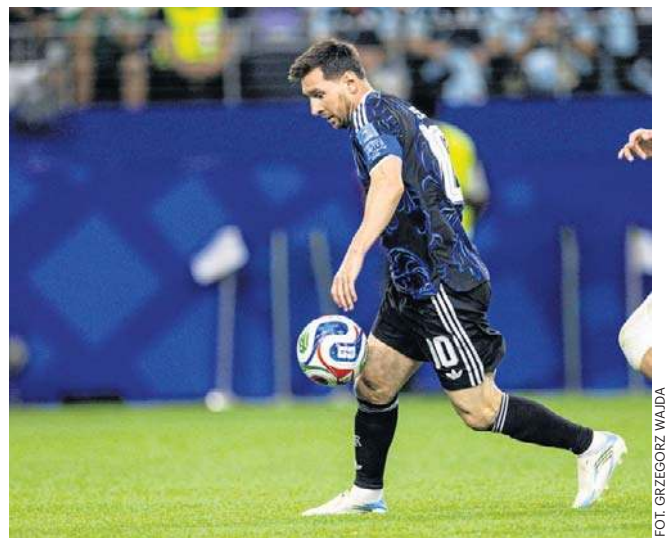
Argentyna zmierzy się z Republiką Zielonego Przylądka w 1/16 finału. Tymczasem sporo emocji wywołała wypowiedź szamana, który przewiduje sensacyjny scenariusz. Według Nany Kwaku Bonsamy debiutująca reprezentacja ma sprawić niespodziankę i awansować do kolejnej rundy. Co więcej, jego zdaniem Leo Messi wyczerpał już swój „limit" bramek na turnieju, który ma zatrzymać się na sześciu trafieniach.

Niezależnie od tej przepowiedni Messi stanie przed szansą powiększenia dorobku bramkowego. Argentyńczyk ma już 19 goli w klasyfikacji strzelców wszech czasów mistrzostw świata, czyli o jedno więcej od goniącego go Kyliana Mbappé.

Tuż za nimi znajduje się Erling Haaland. Początek meczu Argentyny z Republiką Zielonego Przylądka w sobotę, 4 lipca o północy czasu polskiego. Transmisja w TVP 1 i TVP Sport. Skomentują go Maciej Iwański oraz Radosław Gilewicz.

Kilka godzin wcześniej o awans powalczą Australia i Egipt. Obie reprezentacje zajęły drugie miejsca w grupach. „Kangury" ustąpiły jedynie współgospodarzom turnieju – Stanom Zjednoczonym, natomiast Egipt zakończył fazę grupową za plecami Belgii. Początek spotkania w piątek o godz. 20.00. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.

W meczu Kolumbia – Ghana poznamy ostatniego uczestnika 1/8 finału. Zdecydowanym faworytem jest Kolumbia, która wygrała grupę K, wyprzedzając Portugalię. Ghana awansowała z trzeciego miejsca, kończąc fazę grupową z dorobkiem 4 punktów, za plecami Chorwacji i Anglii. Początek spotkania w nocy z piątku na sobotę o godz. 3.30 czasu polskiego. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.



FOT. GRZEGORZ WAJDA

Na Argentyńczyka Leo Messiego padła klątwa jednego z afrykańskich szamanów. Czy będzie skuteczna?

Hubert Hurkacz: Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda

Agnieszka Bialik z Londynu
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **– Mój trener lubi dopracowywać detale, na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać – przekonuje Hubert Hurkacz.**

Jakie to uczucie być w trzeciej rundzie, po powrocie po kontuzji?
Cieszę się z wygranej, nieważne czy bez straty seta, czy nie. I że będę miał kolejne wyzwanie na mojej drodze. Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda. Każdy mecz na wielkim szlemie jest dużym wyzwaniem. To był trudny mecz, zwłaszcza w pierwszym secie.

Pana kolejnym rywalem będzie Amerykanin Tommy Paul, aktualnie 25. rakieta świata, finalista turnieju w Queens, imprezy poprzedzającej Wimbledon. Graliście cztery razy, trzy z tych spotkań pan przegrał. Jaki to przeciwnik?
Skoro przegrałem trzy razy – to znaczy, że to nieprzyjemny rywal (śmiech). Ma bardzo dobry return i świetnie porusza się po korcie. W ostatnich latach miał dobre wyniki i był w finale w Queens dwa tygodnie temu, więc na trawie czuje się świetnie. Będzie to dobre sprawdzenie moich umiejętności.

Z jakiego elementu gry jest pan najbardziej zadowolony po tych dwóch wygranych?
Grałem równo, solidnie, w kluczowych momentach, kiedy rywal miał okazję na przełamanie, podnosiłem swój poziom. Ważne, że utrzymywałem swój serwis. Dzięki temu wywiera się większą presję na przeciwniku. Łatwiej jest też o szanse i okazje dla siebie.

Jeden z punktów zdobył pan po pięknym rzucie na kort i zagraniu woleja. Czy nie boi się pan takich uderzeń? Przy okazji takiego właśnie zagrania nabawił się pan kontuzji na Wimbledonie dwa lata temu…
Cała rekonwalescencja i powrót były dość ciężkie. Przez kilka miesięcy w ogóle nie mogłem się ruszać. Zabiegi nie dawały poprawy przez długi czas, aż w końcu zacząłem robić progres. Miałem okazję zrobić cały okres przygotowawczy. Pomału nabierałem większej pewności siebie.

Od niedawna pana trenerem jest Francuz Gilles Cervava, który w przeszłości doprowadził Rosjanina Daniła Miedwiediewa do triumfu w wielkoszlemowym US Open. Czy różni się od poprzednich pana szkoleniowców?
To ciekawy szkoleniowiec, niesamowita postać. Jest inny niż poprzedni moi trenerzy. Bardzo dba o szczegóły, ważna dla niego jest komunikacja ze sztabem, z teamem. Lubi dopracowywać detale, by wszystko grało. Na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać.

W pana boksie pojawiła się tajemnicza pani…
To moja wspaniała dziewczyna, Joanna, która jest dla mnie cudownym wsparciem. ©℗

eprasa.pl d81d53de47

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

w prenumeracie
z Tele Magazynem

12 312 53 88



radar w slangu CB
poemat Puszkina
miasto koło Gryfic
najstarszy w rodzie
gruba zasłona
odgłos flagi na wietrze
najdłuższy bieg
pokój w chacie
od wikarego do prymasa
cieszy rolnika
domena szatana
serial z Popiołkiem
model Seata
oddział, filia
grecka litera
dział mechaniki
naśladuje obraz olejny
rzeka w Hadesie
rącznik pospolity
naczynie kwestarza
autko na torze
włoskie miasto nad Adriatykiem
cyfra nic
związki chemiczne
drobny deseń
stolica Kolumbii
pan z karabelą
zmierzwiona czupryna
pseudonim Adama Asnyka
miejsce pracy klauna
lanie, cięgi
rzymski Ares
w parze z igrekiem
wczesna marchew
pomnik nagrobny
polski film biograficzny
grecka litera
doskonały mówca
strój, ubiór
rywalka „Ixi”
Carl Zeiss ...
opera Verdiego
21
hebanowiec, śliwodaktyl
harcerz z Anglii
mała organizacja sportowa
paliwo do lamp
antonim wzlotu
bulwy kolokazji
znak zodiaku
toksyna żmii
zasila Wartę
barwny ptak
proszek do prania
20
funkcja trygonometryczna
córka Zeusa i Temidy
Luigi, włoski kompozytor
żużlowcy z Leszna
umiar, delikatność
skrzydlata jazda
Pa dla fizyka
wiatr pustynny
warszawski teatr
prosta droga leśna
angielski arystokrata
turecka metropolia
zgrana paczka, ferajna
kolarska manierka
przestankowy w zdaniu
bibosz, hulaka
ptak błotny
zwój tkaniny
bogini zwycięstwa
roślina jak sułtanat
francuski feudał
regionalna mowa
święty byk faraonów
odpowiada w lesie
izotop wodoru
towarzysz Kajka
papiery urzędowe
kotlet zawijany
ciąży na sumieniu
miła przechadzka
lewy dopływ Odry
zakazany embargiem
pieje o świcie
ciecz w butelce
karny lub wolny
szkodnik drzew
rejonowy lub apelacyjny
dalszy plan obrazu
afrykańska antylopa
drapieżna ryba, miękławka
plac z kramami
z białym ekranem
niski podłużny stół
majowe drzewo
jedno u cyklopa
ostry w trójkącie
woda na herbatę
zgiełk, wrzawa
opowiada przebieg akcji
niewielki kitel
kwiatowa grządka
miasto w stanie Georgia
część ustawy
kobiece imię palindrom
indyjski stan
imię Lipnickiej
przynosi szczęście?
wypełnia siennik
gatunek śledzia
muza astronomii
zdrów jak ...
Y dla chemika
imię Teligi, żeglarza
glina ogniotrwała
ostrze strzały
film Holland
klub ze Świdnika
znak dla wodniaka
Kelvina lub Celsjusza
postawa, prezencja
odmiana w hodowli
górna część tułowia
taniec hiszpański jak grecka litera
warzywo na surówkę
nora
poniżej nosa
talia, kibić
narzędzie ślusarza
polski Kamaz
zapisek na marginesie
piastunka, niania
okienko w banku
pieczara
gaz o intensywnym zapachu
strój noszony przez Hinduski
część twierdzenia
sol lub la
zgorzel wargi i policzka
sopocki deptak
„Nie płacz ...”
dotknięty bielactwem
zlot czarownic
wyciągana na powitanie
matka Hefajstosa
dzień, miesiąc, rok

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26, utworzą rozwiązanie: myśl Owidiusza.

SŁOWNIK: GLOSA, OJRENE, RESKO, SAVANNAH.

ROZWIĄZANIE: RZECZY SIĘ STAŁA, IDEE ISTNIEJĄ.

eprasa.pl d81d53de47